Dziś w numerze: R. GLUTH **Zamach stanu nad Jasienią** ● K. POGORZELEC **(Nie) tylko dla dorosłych** ● T. PAPIER **Synowie Bronka** ● **Z listów Roberta Schumanna** ● T. CHRÓŚCIELEWSKI **Dziura** ● **Życie pozagrobowe**

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA MIASTA ŁODZI

24 (517)
15. VI. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Kształcić i wychowywać

ROZMOWA Z KAROLEM DROZDEM DYREKTOREM ZARZĄDU SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH W MINISTERSTWIE KULTURY I SZTUKI

ODGŁOSY: Uczelnie artystyczne są bardzo popularne wśród każdego rocznika maturzystów opuszczających szkołę średnią. Czy w najbliższej przyszłości przewiduje się rozszerzenie szkolnictwa artystycznego o nowe kierunki i wydziały?

K. DROZD: Szesnaście wyższych szkół artystycznych obejmuje siedem szkół muzycznych, sześć plastycznych, dwie teatralne oraz Szkołę Teatralną i Filmową w Łodzi. Na studiach dziennych kształci się w nich 4300 studentów. Do liczby tej należy dodać kilkusetosobową grupę studentów wydziałów zaocznych, utworzonych przy wyższych szkołach muzycznych. Razem na naszych uczelniach studiuje ponad 4800 studentów.

Z analizy zapotrzebowania i zatrudnienia absolwentów wypływa pogląd MKiSz o utrzymaniu na obecnym poziomie ilości studentów kształcących się na uczelniach artystycznych. Nie przewidujemy również utworzenia nowych jednostek organizacyjnych szkół wyższych. Nastąpią natomiast przegrupowania strukturalne na kierunkach kształcenia w związku z reformą szkolnictwa artystycznego i związania go w jeszcze wiekszym niż dotychczas stopniu z potrzebami kraju. Np. w szkolnictwie plastycznym zmiany ilościowe dotyczyć będą wydziałów sztuki czystej — malarstwo, grafika, rzeźba i kierunków sztuki użytkowej, jak architektura wnętrz, formy przemysłowe itp. Już w ubiegłym roku zmniejszyliśmy ilość miejsc na malarstwie, grafice i rzeźbie. Wg zamierzeń na rok 1970 proporcje na tych kierunkach kształtować się będą następująco: 70 proc. ogółu kształcących się na wydziałach sztuki użytkowej i 30 proc. na wydziałach sztuki czystej. Nowe wydziały będą oczywiście, powstawać. W PWSTiF tworzy sie wydział telewizyjny zaś w szkolnictwie plastycznym szereg nowych kierunków specjalistycznych. Wszelkie jed-

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Matury bez nerwów i kwiatów

Pięć, dziesięć lat temu wyglądało to nieco inaczej. Wielkie emocje zaczynały się już przed dopuszczeniem. Waliły serca, pulsowały skronie, kiedy do klasy wchodził wychowawca i zimnym, beznamiętnym głosem transmitował wyroki rady pedagogicznej, po których jedni oddychali z ulgą, inni, owa nieszczęśliwa mniejszość, zasłaniali twarz rękami.

Potem były egzaminy pisemne z polskiego i matematyki. Czujne oczy wysokiej komisji wpatrywały sie w uczniowskie ręce i usta. Trzeba było siedzieć sztywno, bez ruchu, żeby, co nie daj Boże, nie wzbudzić podejrzeń; każde wyjście do toalety było dokładnie notowane; trzy błędy gramatyczne albo dwa fałszywe wyniki w zadaniach matematycznych przesądzały sprawę absolutnie i nieodwołalnie.

Jeszcze potem następował dramatyczny i uciążliwy finał. Kandydat na absolwenta liceum zdawał jednego dnia pięć przedmiotów w systemie odpowiedzi ustnej. Mogła to być fizyka, matematyka, polski, WOP i historia — sto dwadzieścia pytań z każdego przedmiotu, czyli sześćset pytań łącznie.

Na dzień przed takim maratonem jedni popadali w histerię, inni szli do kina, żeby dać wypoczynek głowie, jeszcze inni kuli do późna, w obłędnym, gorączkowym pośpiechu, a na noc kładli sobie książki pod poduszkę i zasypiali przy pomocy proszków.

Znam człowieka, który siedem lat temu składał egzaminy maturalne jako absolutny prymus szkoły. Dostał z tych wszystkich przedmiotów piątki, a jednak twierdzi, że się przedtem bardzo denerwował.

— Dlaczego?

— Bo nie wierzę — powiada — że są tacy, co nie mają choćby kilku luk w tym ogromnym materiale. A los potrafi być złośliwy.

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Światowa narada partii komunistycznych i robotniczych w Moskwie, która obraduje przy udziale 75 delegacji, weszła w robocze stadium. Wydarzeniami pierwszych dni były obszerne, analityczne wystąpienia Władysława Gomułki i Leonida Breżniewa. Zwracają one powszechną uwagę opinii publicznej i spotkały się z licznymi komentarzami.

Jaka jest treść wystąpienia I sekretarza KC PZPR?

Przypominając, że okres, w którym żyjemy — to epoka głębokich rewolucyjnych przeobrażeń, Władysław Gomułka podkreślił dynamiczny wzrost sił socjalizmu w ostatnich latach. Jednakże temu wzrostowi towarzyszyły osłabiające nasz ruch tendencje odśrodkowe i rozłamowe.

Imperializm, który nie osiągnął żadnego ze swych strategicznych celów, czego najwymowniejszym przykładem Wietnam, próbuje dyskontować te tendencje. Nie jest on jednak w stanie odzyskać historycznej inicjatywy i zawrócić koła dziejów.

Mówca przypomniał, że najważniejszą kwestią naszej epoki jest sprawa wojny i pokoju. Przyjęcie założenia, że wojna jest nieuchronna, jest „zarówno fałszywe teoretycznie, jak i bezpłodne politycznie". Daje ono świadectwo niewiary w siły socjalizmu.

Alternatywą polityki biernego godzenia się z perspektywą wojny jest pokojowe współistnienie, a więc wyrzeczenie się wojny jako środka rozstrzygania konfliktów między państwami. PZPR niezmiennie w swoim działaniu opiera się na tych zasadach.

Władysław Gomułka dużo uwagi poświęcił zbiorowemu bezpieczeństwu w Europie. Nasz kontynent, który zamieszkuje ponad 600 mln ludzi, potrzebuje programu pokojowego współistnienia i pokojowej współpracy. I taki właśnie program wysuwają partie komunistyczne i robotnicze. Droga do niego wiedzie przez urzeczywistnienie idei Apelu Budapeszteńskiego.

Najpoważniejszym europejskim problemem jest polityka NRF, która charakteryzuje się brakiem realizmu. Mimo upływu niemal ćwierćwiecza od kapitulacji III Rzeszy i zakończenia II wojny ponawia się roszczenia terytorialne i zamyka oczy na ostatecznie ukształtowaną rzeczywistość. Wprawdzie ostatnio w NRF pojawiają się i inne tendencje, będące jak gdyby krokiem naprzód, jednak wykładnią ich rzeczywistej wartości może być tylko gotowość uznania status quo w Europie. Zgłoszona przez Polskę propozycja zawarcia układu o ostatecznym charakterze granicy na Odrze i Nysie nie znalazła oddźwięku, który świadczyłby o szczerości intencji SPD-owskich kół politycznych w Bonn.

Duży fragment wystąpienia Władysława Gomułki dotyczy internacjonalizmu. Stosunek do tych zasad — stwierdził mówca — „stał się obecnie podstawowym probierzem prawidłowości linii politycznej każdej partii komunistycznej".

Internacjonalizmowi sprzeniewierzyli się przywódcy KPCh, którzy prowadzą swą politykę z pozycji antyradzieckiego nacjonalizmu i wielkomocarstwowego szowinizmu. Podjęli oni walkę polityczną przeciwko wielu partiom komunistycznym oraz organizują w wielu krajach maoistyczne grupy i frakcje.

Jakiż w tych warunkach sens mają ich antyimperialistyczne oświadczenia, skoro idą w parze z jawną antyradzieckością?

W kolejnej części przemówienia Władysław Gomułka stwierdził, iż głównym ideologicznym źródłem zagrożenia jedności socjalistycznej jest nacjonalizm. Nie ma on nic wspólnego z poszanowaniem samodzielności i narodowej specyfiki.

Każda partia ponosi odpowiedzialność za rozwój swojego kraju. Jeśli w toku walki o socjalizm dochodzi ona do odmiennych wniosków niż inne partie — nie podważa to zasad internacjonalizmu. Wiadomo bowiem, że drogi do socjalizmu mogą być różne i wynikają z okresu historycznego i specyfiki kraju. Naruszenie internacjonalizmu następuje dopiero wówczas, gdy absolutyzuje się tę ocenę, czyni z niej dogmat i próbuje narzucić innym partiom jako jedyną słuszną linię działania.

Historyczne cele walki klasy robotniczej na całym świecie są zbieżne, a to co łączy komunistów jest silniejsze od tego, co ich dzieli. Narada z pewnością pozwoli więc jaśniej określić zadania międzynarodowego ruchu robotniczego.

☆ ✲ ☆

Moskiewskie obrady znajdują się w centrum zainteresowania. Wynika to z faktu, że partie komunistyczne i robotnicze, liczące dziś ponad 50 mln członków, są najpotężniejszym ruchem politycznym współczesności. Odgrywają one dominującą rolę w walce przeciwko imperialistycznemu zagrożeniu.

Na Zachodzie łudzono się, że występujące kontrowersje uniemożliwią zwołanie światowej narady lub też, że znaczna część partii nie weźmie w niej udziału. Jeszcze jedna wielka pomyłka!

Obrady moskiewskie toczą się w atmosferze partyjnej szczerości, a wszystkie wystąpienia przewodniczących delegacji podawane są do publicznej wiadomości. Umożliwia to nam śledzenie przebiegu dyskusji.

W. SŁAWSKI

KRZYSZTOF POGORZELEC

(Nie) tylko dla dorosłych

Znacie to? No to posłuchajcie: jak twierdzą psycholodzy, rodzice podobno z reguły kupują swoim pociechom takie zabawki, którymi... sami chcieliby się pobawić!

Zabawki. Jak sama nazwa wskazuje mamy tutaj do czynienia z przedmiotami służącymi do zabawy, a więc nie mają one nic wspólnego z tzw. poważną stroną naszego życia, ot, takie sobie „śmichy-chichy". właśnie — rzekomo rzeczy nic nie znaczące dla dorosłych. Oczywiście są ludzie, którzy mają diametralnie różne na ten temat zdanie, choćby psycholodzy uparcie wskazujący na znaczenie zabawek dla odpowiedniego kształcenia wyobraźni malucha, umiejętności i zdolności manualnych dziecka, ale to — darujcie maniacy, których nikt... poważny na serio nie weźmie.

Więc — z zabawką jest u nas w kraju tak jak z rośliną, która wprawdzie rada by do słońca, ale z konieczności musi lubić cień i wegetuje w nim starając się nie rzucać nikomu w oczy. Aha — są jeszcze Japończycy, którzy z zabawkarstwa uczynili jeden ze swoich narodowych przemysłów i w ciągu niespełna kilkunastu lat zwiększyli produkcję z 40 do 150 milionów dolarów przy czym dwie trzecie tego eksportują do krajów całego świata robiąc na tej zgoła niepoważnej — zdaniem niektórych — produkcji wcale nielichy interes. No tak, ale to znowu Japończycy, więc... trochę ludzie nie z tego świata.

* * *

Wprawdzie zabawki wyrabia się z myślą o dzieciach i, mimo wszystko, dla dzieci, to przecież statystyki nie podają ile złotówek, dolarów czy franków wydanych na zabawki przypada na jedno polskie, amerykańskie czy francuskie dziecko, lecz na „głowę" mieszkańca danego kraju. Może właśnie w tym kryje się cała przewrotność sytuacji, w której obok malucha wcale nie mniejszym użytkownikiem kolejek, różnych „młodych inżynierów" czy przemyślnych torów wyścigowych jest sama głowa rodziny czyli szanowny tatuś. Jak by tam jednak nie było — policzono. I wypadło, że na jednego mieszkańca Kanady sprzedaje się rocznie zabawek za pięć dolarów, w Belgii — za dwa, Francji. Włoszech — za jednego. Podobnie jest w NRD, wreszcie w Polsce — po dokonaniu rozmaitych przeliczeń — wypadło około 60 centów. Nie jest to kwota imponująca i to w odniesieniu do kraju, który szczyci się nie tak znowu małym przyrostem naturalnym i w ogóle młodym społeczeństwem, co od razu implikuje różnego rodzaju konsekwencje jakie wynikają z zakładania rodzin — zresztą, co ja będę Czytelnikom tłumaczył rzeczy oczywiste. Na osłodę wypada tylko może w tym miejscu dodać, że wprawdzie nie należymy do czołówki „konsumentów" zabawek z owymi 50 centami rocznie, lecz po wielu trudach i zabiegach, powołaniu licznych „najwyższego szczebla" komisji opiniujących, zastosowaniu pewnych bodźców ekonomicznych i materialnego zainteresowania udało się nam rozpocząć eksport polskich zabawek za jakieś 1,5 miliarda złotych co nie jest już kwotą bagatelną.

* * *

Ktoś mógłby powiedzieć: — No więc o co chodzi? Wprawdzie nie należymy do społeczeństw zbyt często kupujących zabawki dla swoich milusińskich, lecz przecież mimo wszystko zdołaliśmy w ciągu ostatnich kilku lat zwiększyć rozmiary produkcji tego przemysłu, a nawet wyjść — jak to się mówi — z polską zabawką na rynki innych krajów. Słowem — nie jest tak znowu źle.

Konfrontacja teorii czyli tego co mówią zestawienia dokonywane przez producentów i eksporterów zabawek z praktyką tzw. „dnia codziennego" czyli z tym co oferuje nam handel jest rzeczą łatwą, a sytuacja na krajowym rynku zabawkarskim staje się oczywista w okresach szczególnego zapotrzebowania na ten rodzaj towaru. Wystarczy odwiedzić kilka sklepów z zabawkami przy takiej okazji jak Międzynarodowy Dzień Dziecka czy też któregoś ze świąt. Co bardziej atrakcyjny towar idzie jak niegdyś cytryny spod lady, na zabawki importowane — choć i tych nie jest zbyt wielki wybór — nie ma znowu tak wielu chętnych, jako że powiedzmy taka łódź podwodna „Pirat", zabawka o dosyć specyficznym i nie częstym przeznaczeniu, kosztuje grubo ponad 200 zł, powyżej tej kwoty, aż po 450 złociszów zaczynają się ceny rozmaitych kolejek „Piko". A przeróżne samochody, rakiety itp. itd. — też wymagają wysupłania co najmniej 100, 150 jeśli nie więcej złotych. A i to nie zawsze można je w sklepach z „artykułami użytku kulturalnego" dostać.

Więc?

Krajowy nabywca zabawek zdany jest na to, co dostarczy mu rodzimy producent. Stara się więc coś znaleźć dla swojej pociechy, chodzi od sklepu do sklepu, by wreszcie, w którymś z kolei usłyszeć sakramentalne:

— Kup pan misia!

* * *

Misie;

Lalki szmaciank;

Czołg „Rudy" z czegoś, co jest niby masą plastyczną, w obrzydliwych kolorkach i z nalepionymi fotografiami bohaterów filmowej epopei;

Drewniane samochody z kołami przymocowanymi gwoździami. Trochę rozmaitych klocków, a wszystko to chlaśnięte farbami jakby od niechcenia, wykonane tak, że po pierwszym nakręceniu wymarzonego przez malucha samochodu sprężyna pęka z hukiem, zresztą bywa że robi to już podczas prób w sklepie, słowem byle co i za wcale niemały pieniądz. Tutaj gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że jeszcze najlepiej przedstawiają się krajowe zabawki wykonane ze szmat — lalki, owe tradycyjne misie, tudzież inne zwierzaki wykonane na użytek dziecięcy nie straszą już kolorami nie z tej ziemi, misie bywają brunatne, koty czarno-białe, a lalki mają lica przypominające ludzkie oblicze. To już coś.

Równocześnie o wiele za mało.

* * *

Pozwolicie, że postawimy w tym miejscu parę pytań.

Choćby; czy w Polsce istnieje zawód konstruktora zabawek?

Czy jest instytucja, której ważnym celem działania byłoby zaopatrywanie wytwórni zabawek w potrzebne materiały?

Wreszcie — czy istnieje rzetelne, faktyczne sito dla zabawek — potworków, owych straszydeł wypaczających gusty naszych milusińskich co nie pozostawia śladów w upodobaniach części starszego pokolenia jakże często przedkładającej odpustową „sztukę" ulepioną z gipsu nad rzeczy wartościowe.

Tutaj znowu — wcale nie marginesowa — uwaga: w sąsiedniej NRD istnieje w nomenklaturze zawodów, bardzo szanowany, właśnie konstruktor zabawek.

Istnieje także wysoko rozwinięty przemysł, którego egzystencja opiera się bynajmniej nie o odpadki jakie spadają innym przemysłom ze stołu.

Właśnie.

* * *

My robimy zabawki z odpadków. Trudno, czym chata bogata. Ale, jeśli tak jest, to czemu za owe odpadkowe materiały producent musi płacić tak jakby to były pełnowartościowe surowce, co znakomicie podraża koszty produkcji?

Ale — choć to rzeczy niezwykle ważne, nie tylko do nich sprowadza się problem polskiej zabawki z prawdziwego oczywiście zdarzenia.

Przysłowiowy pies jest zupełnie gdzie indziej pogrzebany.

Widziałem np. pewien dokument, nieważne przez kogo wystawiony, bo typowy dla wielu Central Handlu Artykułami Kulturalnymi.

Hurtownia „A" prosi przemysł o dostarczenie 5 tysięcy sztuk lalek. Otrzymała 200, ale sztuk.

Czytałem pismo będące analizą stanu zaopatrzenia rynku w niektóre rodzaje zabawek. Otóż wg autorów tego elaboratu rzecz ma się następująco: jeżeli chodzi o zabawki mechaniczne to zapotrzebowanie rynku wewnętrznego zaspokajane jest zaledwie w 10—15 procentach. Brakuje tzw. lalek miękkich szczególnie poszukiwanych przez rodziców dla maluchów. Nie produkujemy zupełnie tak poszukiwanych zabawek mechanicznych jak kolejki, tory samochodowe i szereg innych cudów z dziecięcego świata wyobraźni. Zresztą, co tu wymagać skomplikowanych kolejek, semaforów, gdy ponoć nie najlepiej jest z dostawami takich „towarów kulturalnego użytku" dla dzieciarni jak samochody nie nakręcane, natomiast ile dusza zapragnie jest gwizdków, trąbek, nakryć stołowych, wag, tyle że w dosyć podłym wyborze i gatunku.

* * *

Zabawki żyją w cieniu.

Handel zgoła przyzwyczaił się do tego, że przemysł dostarcza to co chce, jako że na każdym udanym wzorze zabawek z reguły figuruje albo magiczne słowo „rozdzielnik" względnie „produkcja po otrzymaniu odpowiednich materiałów", a z tym jak wiadomo jest przysłowiowy kłops. I to jest chyba najbardziej charakterystyczne. Bo nie macie pojęcia jak piękne zabawki potrafimy robić. Tyle, że tylko na półki WZORCOWNI. No tak, a żeby było jeszcze smutniej to przemysł — chyba w cudzysłowie — bardzo dba o to, by przypadkiem nie został naruszony jego monopol na wyrób zabawek z epoki kamienia łupanego. Więc — o dziwo — często śle do Wysokich Komisji — swoje opinie: IMPORT ZBYTECZNY. MOŻEMY TO ZROBIĆ SAMI.

Import zabawek wykazuje tendencje spadkową.

Słusznie, bo jeżeli potrafimy budować sztuczne serca i silniki okrętowe, to niby zabawek nie?

Na wystawach sklepu Wokulskiego wszystko się poruszało, jarzyło światłami. Wszak to był już wiek XIX.

Kiedy zapytałem kierownika jednego z łódzkich sklepów z zabawkami czemu to wystawa straszy martwotą, odpowiedział: — Panie, chyba byśmy sami za szybę weszli i ruch odstawiali. Co pan chcesz od pluszowego miśka?

Łodzianie w karykaturze

MARIAN JAESCHKE
malarz, prof. PWSSP

rys. Ibis-Gratkowski

Kształcić i wychowywać

Dalszy ciąg ze str. 1

nak zmiany przeprowadzone zostaną w ramach aktualnie studiującej ilości młodzieży.

ODGŁOSY: Kandydaci na studia artystyczne stają w obliczu szczególnie ostrej selekcji. Jak Pan ocenia w związku z tym przygotowanie egzaminowanych do studiów w oparciu o dotychczasowe doświadczenia?

K. DROZD: W ubiegłych latach obserwujemy stały wzrost ilości kandydatów na nasze uczelnie. Do ubiegłorocznego egzaminu na wszystkie kierunki studiów stanęły 3.023 osoby z czego przyjęliśmy jedną czwartą. Najmniej zgłoszeń jest na wyższe szkoły muzyczne, co wynika z warunku ukończenia liceum lub średniej szkoły muzycznej. W zeszłym roku przyjęliśmy dwie trzecie ubiegającej się młodzieży. Dla porównania, na studiach plastycznych procent przyjętych wynosi zaledwie 20. Niewątpliwie największym powodzeniem cieszą się studia teatralno-filmowe. Na 637 kandydatów przyjęliśmy 72 osoby. O przyjęcie na wydział teatralny stara się zwykle 5 osób na jedno miejsce, na wydział filmowy od 7 do 10. Precedensem było zgłoszenie się prawie 600 kandydatów na wydział malarstwa warszawskiej ASP, dysponujący 30 miejscami. Podkreślić trzeba, że jak zwykle ilość nie świadczy o jakości. Wykazuje to często niedostateczne przygotowanie egzaminowanych.

ODGŁOSY: W jaki sposób Ministerstwo usiłuje przeciwdziałać nieuzasadnionemu pędowi czy nawet modzie zdawania na studia artystyczne?

K. DROZD: Opracowaliśmy program informacyjno-rekrutacyjny polegający m. in. na spotkaniach rektorów i kadry profesorskiej ze środowiskiem młodzieży szkolnej. Wyjaśniają one istotę zawodu artysty, jego blaski i cienie. Kariera artysty, jego zawód wymaga wielu poświęceń i ciężkiej pracy. Przypadkowość, uleganie modzie jest nieporozumieniem. A często wśród kandydatów na studia artystyczne można spotkać takie właśnie postawy. Dla najbardziej utalentowanej młodzieży szkolnej spoza wielkich ośrodków kulturalnych organizujemy kursy przygotowawcze. W porozumieniu ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej dwustu uczniów dziesiątych klas z całej Polski uczestniczyło w dwutygodniowych obozach letnich w PWST w Krakowie, PWSTiF i PWSSP w Uniejowie k/Łodzi i na ASP w Warszawie. Tego typu działania, mające na celu umożliwienie bezpośredniego kontaktu młodzieży z terenu z problematyką artystyczną, dały znakomite rezultaty i będą kontynuowane. Wiele spodziewamy się po patronatach szkół nad terenowymi ośrodkami kulturalnymi, domami kultury, ogniskami czy kółkami zainteresowań. Akcja nasza ma dwa założenia. Z jednej strony chodzi o dotarcie zawczasu z pełną informacją o wyższym szkolnictwie artystycznym, kierunkach kształcenia, o nowej funkcji, roli i odpowiedzialności artysty w życiu naszego społeczeństwa, z drugiej zaś jest to próba wyłowienia najbardziej utalentowanej młodzieży w ośrodkach wiejskich i robotniczych spośród wielkiej liczby kandydatów.

ODGŁOSY: Wprowadzenie dodatkowych punktów przy egzaminach wstępnych dla młodzieży pochodzenia robotniczo-chłopskiego poprzedziło wiele dyskusji. Jak problem ten ujęty został w szkolnictwie artystycznym?

K. DROZD: Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że obecny system kwalifikacyjny, przyjęty w szkolnictwie artystycznym, stwarza dla najlepszych możliwość

dostania się do szkoły bez względu na punkty dodatkowe. Nie można zgodzić się z pogądem, że zmniejszyły one szanse młodzieży inteligenckiej. Punkty dodatkowe zaczynają działać dopiero w trakcie egzaminu, w momencie uzyskania przez kandydata określonej ilości punktów, które w przeliczeniu znaczą „dobrze". Punkty dodatkowe dla młodzieży robotniczo-chłopskiej traktujemy również jako pozytywny bodziec psychiczny rozładowujący mit o nieprzekraczalnej barierze egzaminu wstępnego, w którym nie zawsze uzdolnienia i talent były decydujące. Często więc zdolni kandydaci z terenu w ogóle nie ubiegali się o przyjęcie. Doping ten będziemy kontynuować, chociaż w dalszej perspektywie na skutek pewnych zabiegów organizacyjno-programowych, być może z przyznawania dodatkowych punktów zrezygnujemy. Za posunięcia takie należałoby uznać, po pierwsze — wyjście z problematyką szkolnictwa artystycznego do środowisk młodzieży w celu „wykrycia" talentów już na pograniczu szkoły podstawowej i ogólnokształcącej, po drugie — stworzenie takiego systemu opieki, konsultacji, który umożliwiłby kształtowanie procesu rozwoju zainteresowań i zdolności artystycznych w okresie poprzedzającym egzamin.

ODGŁOSY: Egzamin na uczelnie artystyczne odbiega z pewnością swym charakterem od egzaminów na inne studia. Powstaje problem wymiernej oceny wrażliwości, gustów, wyobraźni artystycznej itp. Jak pod względem merytorycznym kształtuje się obecny system przyjęć?

K. DROZD: Na podstawie kilkunastu lat doświadczeń dysponujemy zespołem informacji, który pozwolił w ostatnich dwóch latach na wprowadzenie zunifikowanego systemu kwalifikacyjnego egzaminu wstępnego dla wszystkich uczelni artystycznych na poszczególnych kierunkach studiów. Opierając się na indywidualnej ocenie zakłada on maksymalnie obiektywne wyniki tych ocen. W systemie punktowym egzaminator wystawia odpowiednią ilość punktów za dany egzamin, tajnie, niezależnie od innych członków komisji. Wynik jest wypadkową poszczególnych punktacji. Pozwala to na wytworzenie skali ocen, na podstawie których komisja przystępuje do dyskusji. Na niektórych kierunkach studiów obowiązuje anonimowość egzaminu kandydata. Np. prace plastyczne przegląda najpierw specjalna komisja, szyfruje, dopiero potem dokonuje oceny właściwa komisja kwalifikacyjna. Funkcjonujący od dwóch lat system punktowy oceniamy jako bardzo dobry, chociaż nieraz nad jego poszczególnymi fragmentami przyjdzie dyskutować.

ODGŁOSY: Wokół atmosfery panującej w szkołach artystycznych utarło się wiele sądów dyskusyjnych.

K. DROZD: Styl szkoły jest w jakimś sensie odbiciem modelu środowiska artystycznego. W środowisku tym często rodzą się rozmaite stany — napięcia, wybujałości, ekstrawagancji, powodując różne komplikacje. Takie postawy odnajdujemy również w środowisku studenckim. Rozumiejąc całą złożoną specyfikę szkół artystycznych, należy jednak stworzyć i realizować taki program, w którym mieściłyby się wszystkie istotne kryteria szkoły wyższej. Uczelnia musi kształcić i wychowywać. Problem zagadnień wychowawczych, które rodzą się na styku szkoła—środowisko, jak i w samej szkole pomiędzy nauczającymi i studentami jest w centrum naszej troski. Twórczą rolę w tej dziedzinie spełnić mogą organizacje młodzieżowe, na które nowela ustawy o wyższym szkolnictwie artystycznym kładzie obowiązek współgospodarza uczelni.

ODGŁOSY: Jak się orientujemy młodzież artystyczna jest autorem wielu cennych inicjatyw?

K. DROZD: Tak i to bardzo ciekawych. Będąc gościem na Kongresie ZSP, uczestniczyłem w posiedzeniu przedstawicieli szkół artystycznych. W szerokiej dyskusji wymieniono osiągnięcia i sukcesy młodzieży artystycznej, takie jak: działalność szkół muzycznych z cyklami koncertów, letnie obozy muzyczne w Kołobrzegu studentów PWSM w Warszawie, które cieszą się dużym powodzeniem. Z uznaniem mówiono o pięknej inicjatywie krakowskiej szkoły teatralnej, która zorganizowała wakacyjny teatr objazdowy na wozie. Szkoły plastyczne urządzają wystawy w zakładach pracy, ofiarowując im wiele prac swoich studentów.

Wyjazdy plenerowe plastyków są ponadto doskonałą okazją do nawiązania kontaktów z terenem. Dyskutowano również nad sprawą powiązania szkół z organizacjami i instytucjami w formie patronatu, współpracy, wzajemnych kontaktów. W dyskusji kongresowej wiele uwagi poświęcono udziałowi młodzieży w reformie szkolnictwa artystycznego. Wybrano nowy Komitet Szkół Artystycznych przy RN ZSP, który zbierze postulaty młodzieży i przedstawi je Ministerstwu Kultury i Sztuki. Liczymy bardzo na twórczy dialog młodzieży ze środowiskiem pedagogów oraz Ministerstwem Kultury i Sztuki.

Rozmowę przeprowadził:

ZBIGNIEW KAMIŃSKI

Z woleja

Sportowa mowa

Corocznie oglądając transmisję z kolejnych etapów Wyścigu Pokoju wyłączałem w telewizorze fonię i słuchałem sprawozdawców radiowych dysponujących bardziej aktualnymi informacjami, a oglądałem przebieg wyścigu na ekranie. Nie mój to wynalazek, tysięczne rzesze Polaków w ten sam sposób od lat śledzą akcje kolarzy w tej wielkiej imprezie. Zgodnie więc z tradycją usiłowałem obserwować Wyścig według wyżej podanej recepty, począwszy oczywiście od etapów niemieckich, gdyż informacje telewizyjne za pośrednictwem śmigłowca z polskich etapów były w zupełności wystarczające.

Jakże się tym razem przeliczyłem. Nie znany mi bliżej komentator radiowy informował słucha czy łamaną polszczyzną — cytuję: „... widzę samotną, niebieską koszulkę Peschela...", „...Francuzi jadą na Danguillaume..." oraz „...to chyba ci czternastu kolarzy..." (!?) Trudności sprawiała sprawozdawcy również niedoskonała znajomość form gramatycznych naszego języka, a w szczególności odmiana rzeczowników przez przypadki. Na potwierdzenie cytuję: „...jeżeli defekt nie pokrzyżuje Szurkowskiemu szyki..."

Czym prędzej wyłączyłem radio i wsłuchałem się w rzekę słów, płynących z ust Bohdana Tomaszewskiego. Jednak i tutaj nawet niezbyt wrażliwe ucho wyłowić mogło wiele nieścisłości w rodzaju: „...zawodnik ten nabrał postępu i wysunął się na szóstą pozycję" czy „...wylała się na stadion grupa dziennikarzy", nie mówiąc już o „żywych pochodniach" na stadionie. Ponadto wszystkie opowieści o błękicie nieba nad stadionem, zieloności drzew wokół niego oraz plusku wody, w której właśnie kolarze myli się, a przy tym brak rzetelnej informacji potrafił doprowadzić wiele osób do rozstroju nerwowego. Przecież jasną jest rzeczą, że jeżeli realizator pokazuje na wizji jak kolarze myją się po trudach etapu, to oczywiście najłatwiejszą sprawą jest stanąć obok i rzuciwszy filuterne spojrzenie w kamerę zakomunikować, że „oto właśnie widzicie państwo jak kolarze się myją, trudny był to etap". O wiele jednak trudniej dowiedzieć się wyników etapu od sędziów w możliwie jak najkrótszym czasie.

Obsługa prasowa, radiowa czy telewizyjna tak gigantycznej imprezy jaką jest Wyścig Pokoju, nie należy naturalnie do rzeczy łatwych. Codzienne przemieszczanie się z miejsca na miejsce, konieczna szybkość informacji, ogromna baza techniczna — wszystko to utrudnia pracę sprawozdawcom. Dołóżmy do tego złe warunki atmosferyczne, przemęczenie czy chwilową niedyspozycją dziennikarza; elementy te mają ogromny wpływ na jakość przekazywanej informacji. Przy tym wszystkim trzeba jednak żądać od sprawozdawców radiowych wyrażania się w pięknym, bogatym w słowa języku polskim, a od komentatorów telewizyjnych oszczędnej, rzeczowej i krótkiej informacji. Przecież sportem interesuje się głównie młodzież szkolna, więc duża szansa by młodzi ludzie nabywali umiejętności operowania językiem przez słuchanie nawet audycji sportowych. Na razie są to jednak tylko pobożne życzenia.

Z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że najlepszym polskim sprawozdawcą jest B. Tomaszewski. Mała jednak uwaga — jest on typowym radiowcem, a lawina słów jaką obdarza on telewidzów wyraźnie denerwuje. Właśnie Tomaszewski posługuje się dobrą polszczyzną, jemu nie brakuje słów, aby opisać jakieś zdarzenie. Jest to dobre w radio, nuży jednak przy telewizorze. Pozostali sprawozdawcy cierpią na wyraźne braki w słownictwie.

Język sportowy jest językiem specyficznym, stworzonym przez samych dziennikarzy sportowych i przez nich „udziwniony". Trzeba tu jednak powiedzieć, że interesujący się sportem czytelnicy czy słuchacze język ten przyjęli i zaakceptowali. Czy słusznie? Chyba nie. Przecież słowo — czy woląg „peleton" to nic innego jak „główna grupa". Podobnych wyrażeń jest w języku sportowym więcej. Musimy więc wymagać od sprawozdawców przede wszystkim w radio i TV bardzo dobrej znajomości języka, pełni jego bogactwa, zwrotów i określeń. Musi to być poparte fachowością i rzetelną informacją, byśmy wreszcie przestali się nerwować słuchając łamanej polszczyzny w wykonaniu tych, którzy powinni propagować piękno polskiego języka.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

Matury bez nerwów i kwiatów

Dalszy ciąg ze str. 1

— No, dobrze, ale przecież uczniowska marka, kredyt zaufania u profesorów...

— No tak, ale mógł przecież znaleźć się nagle ktoś obcy: wizytator, przedstawiciel ministerstwa...

Spocone ręce, zbielałe usta...

Jasne — w różnych szkołach przebiega ło to inaczej, nie wszędzie komisje były jednako surowe albo pobłażliwe, nie wszyscy maturzyści brali sobie ten podniosły moment tak bardzo do serca. Tak czy owak na emocjach nie zbywało. Po szkolnych korytarzach snuły się westchnienia, uczniowskie grupki z książkami i zeszytami pod pachą, ze ściągami w kieszeni, przestępowały z nogi na nogę wyczekując swojej kolejki; ten i ów zerkał jeszcze do notatek, tamten pytał o coś koleżankę; każdy wychodzący z egzaminu, świeżo upieczony maturzysta zdawał kolegom dokładną relację: kto w humorze, kto w złości, jakie pytania już „wyszły", jakie, drogą prawdopodobieństwa, mogą w najbliższym czasie „wyskoczyć". Następnie wielu z tych szczęśliwców przechodziło w ramiona matek, ciotek, wujków i braci; otrzymywali kwiaty, gorącą herbatę z termosu i kanapki z szynką, bo kto zdał, to wiedział o tym od razu i na fetę w zupełności zasługiwał...

Wielu chłopaków odcinało ostentacyjnie żyletką szkolne tarcze i zapalało papierosy, rumieniąc się wszakże na widok tego czy owego profesora. Dziewczęta zdejmowały z nóg skromne, czarniawe pół buciki i zakładały szpilki, poprawiały włosy i przeciągały usta szminką, żeby przydać sobie odpowiedniej powagi...

2.

W 1965 roku wszedł w życie inny system egzaminów maturalnych, który z maleńkimi poprawkami, nie krzywdzącymi przecież uczniaków, obowiązuje do dnia dzisiejszego.

Więc od początku:

Do egzaminów pisemnych z polskiego i matematyki, które zdają wszyscy, można dojść nawet z dwóją, wieńczącą ostatni o kres nauki. Kto złoży te przedmioty przynajmniej na trójkę, ma już na zawsze spokój z gramatyką i trygonometrią (o ile nie wybiera się na filologię i matematyczne kierunki studiów); kto obleje, to jeżeli nie miał na ostatni okres dwójki — może się jeszcze poprawić „ustnie", w tak zwanym trybie poszerzonym. Klasę powtarzają tylko ci, co zostali dopuszczeni z dwójkami i na dwójki złożyli prace pisemne.

Na tym kończą się wszelkie niebezpieczeństwa maturalnych podchodów, albowiem jest ścisła zasada, że ktokolwiek został dopuszczony do egzaminów ustnych, ten już klasy jedenastej nie powtarza.

A jak wyglądają egzaminy ustne?

W poważnym stopniu zostały zredukowane. Zdaje się obowiązkowo, bez względu na ocenę końcową, jeden przedmiot z wyboru: biologię, fizykę, chemię lub geografię oraz, z „konieczności", historię i jeden z języków obcych, z tym jednakże udogodnieniem, że kto w dziesiątej i jedenastej klasie miał na zakończenie roku czwórkę (albo trójkę w dziesiątej a piątkę w jedenastej), ten może być zarówno z historii jak i języka obcego zwolniony.

Minimum więc — jeden egzamin ustny, maksimum — trzy.

Do egzaminu ustnego także można dojść w wyjątkowych wypadkach z oceną niedostateczną, o ile w ciągu roku spotkały ucznia jakieś tragedie rodzinne lub długotrwała choroba.

Co dzieje się z tymi, którym na egzaminach ustnych powinęła się noga (raczej głowa)? Jak pisaliśmy — nikt już klasy nie powtarza, toteż „oblani" rehabilitować się będą jesienią, jeśli natomiast i na jesieni nie potrafią się poprawić, to będą zdawać w terminach późniejszych — do oporu.

Obecny system maturalny niesie jeszcze inne udogodnienia dla uczniów i profesorów. Skończyły się przeciążenia. Maturzysta zdaje tylko jeden przedmiot w ciągu dnia, co zapobiega mętlikom w głowie, ale, z drugiej strony — jak twierdzi dyrektor III Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki, Bolesław Dębski — zaciera trochę ogólny, intelektualny obraz ucznia. Kiedyś uczeń mógł w ciągu godziny zatrzeć wrażenie złej odpowiedzi z fizyki doskonałą odpowiedzią z polskiego czy historii. Teraz dostaje stopień za realną, obiektywną wiedzę z danego przedmiotu, co w końcu wydaje się sprawiedliwe.

3.

Zmiany w systemie maturalnym wpłynęły także na zmianę obyczajów. Skończyły się nerwy i histerie; na korytarzach nie widzi się podekscytowanych grupek wytwarzających atmosferę giełdy, nie widzi się także matek i ciotek z kwiatami, gdyż o wynikach egzaminów zawiadamia się wszystkich na raz w kilka dni po maturach.

— To jest dobry lecz jeszcze niedoskonały system — mówi dyrektor Dębski. — Można z całą pewnością przyjąć, że żaden z uczniów nie powtarza do egzaminów pisemnych z matematyki całości materiału, gdyż wie, że nie będzie musiał ani wyprowadzać wzorów ani udowadniać twierdzeń. To samo z językiem polskim: cała uwaga skoncentrowana jest na kilku zagadnieniach syntetycznych, nikt natomiast nie wkuwa reguł gramatycznych czy życiorysów pisarzy, które z całą pewnością, jako przedmiot pisemnej rozprawy, nie staną. No, ale przecież nie tyle chodzi o te wzory, reguły i życiorysy, co o ogólne wiadomości, kulturę i inteligencję zdających. W wypadku mojej szkoły mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że obecny system składania egzaminów dojrzałości nie tylko nie obniżył poziomu, ale go w pewnym sensie podwyższył, bo przecież wiedza naszych absolwentów z powodzeniem się weryfikuje w egzaminach na wyższe uczelnie.

III Liceum im. T. Kościuszki to, trzeba przyznać, wyjątkowa szkoła. Ze 152 dopuszczonych do matur uczniów 148 wybiera się na różnego typu wyższe studia, pozostali zaś (czterech) do szkół pomaturalnych, przed którymi, jak mi się zdaje, wobec ogromnej nadprodukcji maturzystów i ograniczonych limitów uczelnianych — otwiera się kolosalna przyszłość.

W obliczu porównań z rokiem ubiegłym dyrektor Dębski ma prawo do nadziei, że 75 procent absolwentów liceum przejdzie zwycięsko przez sito egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie.

Szkoła jest rzeczywiście „na poziomie".

Asystując jednak przy maturach w innych szkołach — doszedłem do wniosku, że tam również, jest nie najgorzej.

Wchodzili pewni siebie, uśmiechnięci. Nikt nie szperał po kieszeniach i nie toczył błędnym wzrokiem po ścianach. Odpowiadali, w większości, płynnie, z dużą znajomością przedmiotu.

Podszedłem do chłopca, który przed chwilą złożył chwalebnie ostatni egzamin.

— Cieszysz się? — zapytałem. I zaraz się poprawiłem. — Cieszy się pan?

— Z czego?

— No, z matury.

— Będę się cieszył, jak zdam na studia — powiedział, a patrzył na mnie hardo i bystro. — Matura dzisiaj, proszę pana, nic nie daje. Matura, tak jak angielski funt sterling, w poważnym stopniu się zdewaluowała.

Niech mi ktoś teraz powie, że on nie miał refleksu.

I pewnej racji.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ANDRZEJ WEISER

Nowy kodeks postępowania karnego

Wraz z nowym kodeksem karnym wszedł w życie i zacznie obowiązywać od 1.I.1970 r. nowy kodeks postępowania karnego, zawierający normy procesowe określające sposób postępowania przy urzeczywistnianiu represji karnej w razie popełnienia przestępstwa.

Celem norm procesowych jest zarówno zapewnienie organom wymiaru sprawiedliwości najkorzystniejszych warunków do wykrycia prawdy materialnej i zastosowania trafnej represji w stosunku do rzeczywistego sprawcy przestępstwa, jak też stworzenie gwarancji procesowych dla wszystkich uczestników procesu, a przede wszystkim dla oskarżonego, któremu Konstytucja PRL w art. 53 ust. 2 zapewnia prawo do obrony. Stąd olbrzymie znaczenie rozwiązań instytucji zasad kodeksu postępowania karnego — nie tylko praktyczne dla wymiaru sprawiedliwości, ale polityczne dla wszystkich obywateli.

Kodeks postępowania karnego jest bowiem, jak lapidarnie i trafnie określił go prof. M. Siewierski, „księgą gwarancji praw człowieka w postępowaniu karnym".

Jakie są główne kierunki zmian w nowym kodeksie postępowania karnego w stosunku do obowiązującego dotychczas?

Otóż nowy kodeks scala normy procesowe z różnych ustaw i stwarza jednolity system procesu karnego przed sądami oraz prokuraturami powszechnymi i wojskowymi. Część wojskowa została oddzielona, wyodrębniona tylko o tyle, o ile to było konieczne.

Jest to konsekwencją jednolitego pojmowania praworządności socjalistycznej, jak też następstwem faktu, że zgodnie z Konstytucją nadzór judykacyjny nad wszystkimi sądami sprawuje jeden Sąd Najwyższy, że postępowanie przygotowawcze prowadzi lub nadzoruje jednolita i scalona Prokuratura, jak też, że nowy kodeks karny scala także normy prawa karnego powszechnego i wojskowego.

Praktyka prokuratorska i sądowa wykształciła formy zapobiegania przestępczości, których dotychczasowa procedura nie przewidywała. Stąd też nowy kodeks postępowania karnego akcentuje profilaktyczny i wychowawczy charakter procesu. Podkreśla to w normie generalnej, określającej obowiązek wykrywania źródeł przestępczości oraz obowiązek sygnalizowania o tym. W normie szczegółowej zaś przewiduje prawo żądania wyjaśnień w tym zakresie.

W nowym kodeksie nie wszystkie podstawowe zasady procesowe zostały skodyfikowane. **Skodyfikowano zasadę domniemania niewinności, swobodnej oceny dowodów, legalizmu.**

Określono wyraźnie obowiązek organów prowadzących postępowanie pouczania uczestników procesu o przysługujących im uprawnieniach. Nowy kodeks w sposób bardziej adekwatny do odnośnych przepisów Konstytucji reguluje skład sądu. Tak więc odmiennie niż dotychczas tak zwane postępowanie uproszczone będzie toczyć się w zasadzie z udziałem ławników, a jedynie prezes sądu będzie mógł zarządzić rozpoznanie sprawy w składzie jednego sędziego. Widoczne jest zwiększenie czynnika społecznego w wymiarze sprawiedliwości.

I tak w sprawach o przestępstwa zagrożone karą śmierci będzie orzekał skład 5-osobowy złożony z 2 sędziów i 3 ławników. Rewizję w takiej sprawie będzie rozpoznawał sąd w składzie pięcioosobowym.

Najważniejsza zmiana w nowym kodeksie postępowania karnego, to rozszerzenie uprawnień oskarżonego i obrońcy w procesie, zwiększenie kontroli sądu nad postępowaniem przygotowawczym.

Bezpośredni i faktyczny udział oskarżonego i jego obrońcy w postępowaniu karnym, czyli tak zwana **kontradyktoryjność procesu** — to podstawowy warunek prawidłowości postępowania, unikania pomyłek, wykrycia prawdy materialnej, realnego zapewnienia oskarżonemu przysługujących mu praw.

Ta prawda nie zawsze była doceniana przez organy ścigania, co przynosiło szkodę nie tylko oskarżonym, ale i wymiarowi **sprawiedliwości.** Wynikało to zresztą w znacznej mierze z niedoskonałości dotychczasowych przepisów. Dotychczas bowiem kontradyktoryjność związana jest ściśle z rozprawą. Natomiast brak kontradyktoryjności w postępowaniu przygotowawczym skutkował niejednokrotnie wysoki wskaźnik wyroków uniewinniających, czy częściowo uniewinniających. Jeśli wziąć pod uwagę, że pewna część z tych wyroków uniewinniających nie była przez Prokuratury zaskarżana, w innych zaś rewizje prokuratorskie nie zostały przez sądy II instancji uwzględnione — to wniosek nasuwa się sam. Były akty oskarżeń niezasadne. Były sprawy, w których obywatel niepotrzebnie i niesłusznie został postawiony w stan oskarżenia. I aczkolwiek były to sprawy na pewno wyjątkowe, nieliczne — to jednak zdarzały się i takie. Zjawisko to choć niewątpliwie zupełnie marginesowe, było wysoce niekorzystne. Wyrządzające krzywdę nie tylko obywatelowi, ale przynoszące szkodę wymiarowi sprawiedliwości i państwu socjalistycznemu, w którym **podstawową zasadą praworządności jest, by nikt kto winny, nie uszedł karze, ale też by nikt kto niewinny nie był ukarany. I oczywiście także by nikt nie był niepotrzebnie, niesłusznie oskarżony.**

Rozszerzenie w nowym kodeksie postępowania karnego kontradyktoryjności, wprowadzenie jej elementów do śledztwa i dochodzenia, powinno w efekcie prowadzić do zapobieżenia tym i innym ujemnym zjawiskom, do zwiększenia wnikliwości, ostrożności, obiektywizmu prokuratora prowadzącego czy nadzorującego postępowanie przygotowawcze. Bynajmniej nie tylko i nie zawsze w interesie oskarżonego. Ale przede wszystkim i zawsze w

ROBERT GLUTH

ZAMACH STANU NAD JASIENIĄ

Dzielnica Górna wyrosła z kompleksów. Praktycznie rzecz biorąc jest dziwolągiem administracyjnym, który łączy jedno: granica na planie miasta. Teren kontynentu zwanego Europą zamieszkały przez ponad 200 tysięcy ludzi przywykliśmy nazywać dzielnicą Górną. Czego dzielnicą? Dlaczego Górną? Na te pytania wbrew pozorom trudno odpowiedzieć.

Miasto Łódź kończy się tam, gdzie pieje kogut neonowy straży pożarnej i błyska niebieskawym światłem neon Domu Towarowego „Uniwersal". Dalej zaczyna się miasto poza miastem, miasto inne, jeszcze w pełni nie wchłonięte przez organizm metropolii przy której leży — złożone z kilku tradycyjnych dzielnic, z miejsc gdzie były wsie, osady, folwarki.

Jedzie wesele od Olechowa
Pana młodego po... krowa
A panią młodą po... cielę
Od Olechowa jedzie wesele

To jest strasznie brzydka i złośliwa piosenka, a śpiewano ją właśnie na pobliskich Chojnach. To jest piosenka nienawiści i pogardy — wsiowa piosenka na zasadzie „bij go, bo obcy", stworzona.

Chojny i Ruda zawsze stanowiły konglomerat przeróżnych tendencji, tęsknot, obyczajów. Nic w tym przecież dziwnego, skoro zważy się, że dwie główne ulice tych dzielnic — Rzgowska i Pabianicka — stanowiły dwa odrębne światy. Rzgowska do torów kolejowych była biedniacko-robociarska, straszliwie skłócona wewnętrznie w każdym człowieku: ciągoty do ziemi i własnej zagrody konkurowały ze źródłem zarobku, który znajdowało się na przykład u Geyera. Za torem rozciągały się już wsie — powiat łódzki. Szperając w starych wydawnictwach napotkałem raport komisarza Policji Państwowej z roku 1929, w których ów urzędnik uzasadniał ogromną jego zdaniem przestępczość „Zatorza". Twierdził, że blis kie wsie żerują na mieście, a potem chronione są przez solidarność wiejską. W tym twierdzeniu było wiele racji.

W sąsiedztwie — zaczynająca się od obecnego Placu Niepodległości szosa pabianicka posiadała po jednej stronie park Wenecję, cegielnię, folwark, a dalej Rudę — półrolniczą kolonię niemiecką. Biedota z Rudy znajdowała pracę u Horaka.

Coraz mniej spotkać można starszych, rodowitych chojniaków. Do nich niewątpliwie należy wybitny teoretyk i praktyk pedagogiki Mieczysław Woźniakowski, któremu zawdzięczam wiele informacji z przeszłości tamtych dzielnic. To on właśnie zwrócił mi uwagę na specyfikę duszy chojniaka — duszy na poły wiejskiej, na poły miejskiej. W 20-leciu międzywojennym, w latach kryzysu nawet bezrobotni odkładali ze swoich głodowych zasiłków oszczędności na zakup własnego placu. Potem na tych placach wyrastały budowle przedziwne, różniące się od siebie jak właściciele różnili się stopniem zamożności, czasem budy jednoizbowe z kanonką pośrodku, czasem domki jednorodzinne — jedyna w swoim rodzaju improwizacja chojeńska, tak różna od „familiaków" na Niciarnianej czy Ogrodowej. Już wygasają słynne rody chojeńskie — nieprawdopodobnie polskie w moim wyobrażeniu — wsiąkające w miasto kominów i równocześnie drapieżnie miłujące ziemię. Rody Lewych, Zimoniów, Gamoniów, Zasadów...

Na „Zatorzu" żyli i po dziś dzień żyją ludzie z najgłębszą wartstwą kompleksu zaniedbania. Na Zarzewskiej znowu grupowały się kręgi lumpenproletariatu. Istniało jakieś fatum biedy, trudniejszego startu, zapomnienia w tych wszystkich pachnących ni to dziegciem, ni to wsią, ni to bawełną dzielnicach.

2.

I oto mamy w granicach miasta obszar, który zamieszkuje ponad 1/4 mieszkańców Łodzi — obszar odbijający wszystkim: wyglądem, atmosferą, tradycją od reszty polskiego Manchesteru. Jest tu bardzo dużo zieleni, nowe trasy komunikacyjne — miejscami najszersze chyba w całej Łodzi — oznaczone magiczną literą E i cyfrą na zielonym polu, co wskazuje szosę międzynarodową. Mamy największy chyba w dziejach tego miasta konglomerat obyczajowo-społeczny, sąsiedztwo nowoczesnych osiedli na Dąbrowie i Rokiciu z zabudową starochojeńską i łódzką, mamy ogromną dzielnicę, do której nikt nie ma potrzeby zaglądać, jeśli tam nie mieszka, o której przeciętny łodzianin wie tylko tyle, że istnieje cmentarz na Kurczakach, „szosa śmierci" na Pabianickiej i „zakręt śmierci" na Rzgowskiej. Ot, dzielnica, z którą spotykamy się od czasu do czasu, żeby złapać pociąg pospieszny do Wrocławia zatrzymujący się na stacji Łódź-Chojny. Kto z mieszkańców Śródmieścia czy Bałut wie gdzie znajduje się ulica Komorniki albo Bankowa? Kto idzie dalej z jakąś pilną sprawą poza „Uniwersal"? Kto wie którędy przepływa rzeczka Jasień?

Nad Jasienią legendarny Łaniucha — zbir sprzed lat — zamordował niejaką Bobrowską i rzucił w nurty rzeczki jej poćwiartowane zwłoki. Nad Jasienią nie tak dawno młody człowiek zabił swoją przyjaciółkę. O Jasieni krążą wśród starych łodzian legendy mocno zaprawione koszmarem.

A kto z łodzian wie, że w dzielnicy Górna zmarł słynny, cygański król Kwiek, że istnieje tam kolonia cygańska — zbiorowisko ludzi osiadłych już, dzieciatych i spokojnych? Kto w końcu wie, że mieszkańcy Rokicia — nowoczesnego osiedla — wnieśli ostatnio postulat do władz aby rzeczkę Jasień zakryć, bo wyziewy ścieków z odległych fabryk bynajmniej nie umilają życia?

A o tym wszystkim i o wielu innych jeszcze sprawach trzeba wiedzieć koniecznie, ponieważ nad rzeczkami Olechówką, Jasienią i Nerem zaszły zmiany ogromne i żadne posądzenie o „klajstrowanie" jubileuszowe nie jest mi w stanie odebrać tego przymiotnika — zmiany, które można określić tylko w jeden sposób: generalny zamach stanu.

Zwykle pod tym pojęciem rozumie się walkę o władzę między dwiema grupami ludzi. Ten zamach jest jednak znacznie trudniejszy, bardziej decydujący: jest zamachem na stan istnienia „miasta poza miastem".

3.

Jeśli nocą idzie się przez dzielnicę Górną, to pierwsze wrażenie zawiera się w trzech słowach: szeroki oddech i światło. Idę o zakład, że człowiek urodzony na Chojnach, a pozbawiony przez wiele lat kontaktu z Łodzią stanie zupełnie bezradny na ulicy Gagarina. Zrobiono tutaj w ciągu ostatnich lat więcej niż można było przypuścić. — Powstały nowoczesne arterie przelotowe, szeroki od cinek Rzgowskiej z wiaduktem kolejowym, mądrze pomyślane Rondo Titowa i spory kawałek Alei Politechniki, najładniejszej chyba ulicy łódzkiej. Wydłużono trasy tramwajów, samochody bez pieczenie rozwijają wygodną szybkość, krajobraz dzielnicy ze światłami bloków osiedli na Dąbrowie i Rokiciu przybliżył w jakimś stopniu wizję miasta przychylnego dla człowieka.

Ale i o komunikacji przedstawiciele władz dzielnicy mówią jeszcze zdenerwowanymi głosami na roboczych naradach, nie pysznią się tym co zaszło — myślą o

Dalszy ciąg na str. 7

Fot. K. Janaszewski

interesie praworządności socjalistycznej. **Kontradyktoryjność postępowania przygotowawczego ma bowiem służyć naczelnej zasadzie procesu — jaką jest wykrycie prawdy.**

Aczkolwiek kodeks zwiększa kontradyktoryjność postępowania we wszystkich jego stadiach, najwięcej jednak zmian w tym zakresie wprowadza w postępowaniu przygotowawczym. Rozszerza znacznie prawo oskarżonego aresztowanego do porozumiewania się z obrońcą sam na sam. I chociaż z uwagi na tajemnicę postępowania przygotowawczego przyznano prokuratorowi prawo zastrzeżenia, że przy tym porozumieniu będzie obecny on sam lub osoba przez niego wyznaczona, to jednak odmówić zezwolenia na takie porozumienie będzie mógł prokurator tylko w wyjątkowych wypadkach. Na żądanie podejrzanego trzeba także będzie uzasadnić na piśmie postanowienia o przedstawieniu zarzutów, przy czym o prawie zgłoszenia takiego żądania należy go pouczyć. Poza tym w takim uzasadnieniu przedstawienia zarzutów trzeba będzie wskazać podejrzanemu jakie dowody go obciążają — a to w tym celu, aby ułatwić mu obronę. Trzeba też będzie dopuścić udział podejrzanego w czynnościach śledczych czy dochodzeniowych, których powtórzenie na rozprawie nie będzie możliwe (a więc przesłuchanie osób, którym grozi śmierć, które muszą wyjechać za granicę, lub oględziny śledcze).

Bardzo istotne zmiany wprowadza kodeks w zakresie ekspertyzy w stadium śledztwa. Otóż nakazuje dopuścić do udziału w niej podejrzanego i jego obrońcę. Znaczenie ekspertyzy zwłaszcza w poważnych sprawach gospodarczych i doświadczenia praktyki sądowej (nieutrzymywanie się wielu ekspertyz w sądzie) pozwalają w sposób właściwy ocenić potrzebę i doniosłe znaczenie tego nowego przepisu.

Poza tym kodeks nakazuje dopuszczenie podejrzanego, pokrzywdzonego i ich przedstawicieli ustawowych na ich żądanie w ogóle do wszystkich czynności śledczych i dochodźczych o ile dobro śledztwa czy dochodzenia nie stoi temu na przeszkodzie. Jednakże odmowa dopuszczenia do udziału w takich czynnościach wymagać będzie postanowienia. Wynika stąd, że dobro śledztwa czy dochodzenia jako podstawa odmowy nie będzie mogło być traktowane w sposób formalny, stereotypowy — ale jak najbardziej konkretny i uzasadniony, tym bardziej, że na taką odmowę dopuszczalne będzie zażalenie.

Poważnym rozszerzeniem kontradyktoryjności postępowania przygotowawczego i zwiększeniem możliwości obrony oskarżonego są zmiany przewidziane w kodeksie w zakresie uprawnień oskarżonego i jego obrońcy przy zakończeniu śledztwa czy dochodzenia.

Otóż na 7 dni przed zaznajomieniem oskarżonego z zebranymi materiałami dowodowymi służyć będzie jego obrońcy prawo przeglądania akt przez 7 dni. W tym czasie i od tej chwili oskarżony aresztowany będzie miał prawo porozumiewać się sam na sam ze swoim obrońcą już bez żadnych ograniczeń. Chodzi tu o faktyczne a nie formalne, jak to nieraz było dotychczas, umożliwienie obrony podejrzanemu, o umożliwienie prawidłowego wyjaśnienia sprawy.

W przypadku zgłoszenia wniosku o uzupełnienie postępowania przez dokonanie dodatkowych czynności i dopuszczenie do udziału w nich, prokurator uwzględniając taki wniosek, nie będzie mógł odmówić żądaniu podejrzanego lub jego obrońcy dopuszczenia do udziału w tych czynnościach.

Znacznemu zwiększeniu ulegnie także rola sądu w postępowaniu przygotowawczym.

Tak więc na postanowienie prokuratora stosującego tymczasowy areszt oraz na postanowienie prokuratora wojewódzkiego o jego przedłużeniu przysługiwać będzie zażalenie do sądu.

Przede wszystkim jednak kodeks wzmacnia wstępną kontrolę sądu nad zasadnością aktu oskarżenia, pozwalając mu nawet na wkraczanie w tym stadium w dziedzinę dowodów i ocenę samej zasadności oskarżenia, przy czym w tej ostatniej sytuacji w posiedzeniu sądu rozstrzygającego tę kwestię będzie miał prawo wziąć udział oskarżony i jego obrońca. Niezależnie od wstępnej kontroli zasadności aktu oskarżenia przez sąd i umorzenia postępowania w razie oczywistego braku podstaw oskarżenia oraz zwrotu sprawy prokuratorowi w celu usunięcia istotnych braków, kodeks wymienia dodatkową przesłankę zwrotu akt, mianowicie potrzebę poszukiwania dowodów oraz bardzo istotną nową przesłankę zwrotu akt prokuratorowi w celu rozszerzenia postępowania na czyny osób nie pociągniętych do odpowiedzialności karnej, pozostające w ścisłym związku z czynami osób przeciwko którym toczy się postępowanie, jeżeli ma to zapewnić prawidłowe wyrokowanie w sprawie. W postępowaniu sądowym dokładnie sprecyzowano sytuację pokrzywdzonego przyznając mu prawo tzw. oskarżyciela posiłkowego w sprawach z oskarżenia publicznego a także i prywatnego w razie objęcia oskarżenia przez prokuratora. Oskarżyciel posiłkowy będzie brał udział w postępowaniu w charakterze strony procesowej. Wprowadzono zasadę, że na rozprawie głównej, w której udział bierze prokurator on odczytuje akt oskarżenia. Jest to zmiana istotna, gdyż podkreśla obiektywizm i niezależność sądu. Uaktywnia też prokuratora na sali sądowej.

Konsekwencją tej zmiany winno być prowadzenie postępowania dowodowego przez prokuratora, a nie przez sąd, jak to jest dotychczas. Pogłębiłoby to znacznie kontradyktoryjność postępowania sądowego i przyczyniłoby się do lepszych jego wyników.

Przewidziano także udział w postępowaniu sądowym tak zwanego przedstawiciela społecznego, jeżeli zachodzić będzie potrzeba obrony interesu społecznego, objętego zadaniami statutowymi danej organizacji w szczególności w sprawach dotyczących ochrony mienia społecznego i praw obywateli.

Przedstawione pokrótce niektóre z najważniejszych rozwiązań nowego kodeksu postępowania karnego — zwłaszcza w zakresie uprawnień oskarżonego i jego obrońcy oraz roli sądu w postępowaniu przygotowawczym — są widocznym wyrazem ugruntowywania socjalistycznej praworządności, uwzględniania nowoczesnych postępowych tendencji w naszym ustawodawstwie, pogłębiania i rozszerzania demokracji socjalistycznej również poprzez zwiększanie praw obywatela i ich gwarancji w procesie karnym.

TADEUSZ PAPIER

Synowie Bronka

Oto Kazimierz, najstarszy syn Bronka, i młodszy Andrzej, ten co w dzieciństwie strugał ptaki. Kazimierz chodzi do liceum, a Andrzej do szkoły mechanicznej. Obydwaj przypominają ojca, są wysocy, mają ostre rysy twarzy. Może Kazimierz więcej jest podobny do matki, ma w oczach coś łagodnego. Melania powiada, że Kazimierz przypomina z usposobienia jej męża Ludwika. „Taki sam poeta, jak mój haban nieboszczyk" — powiada. Bronek mówi o nim: „Spirytus, nie chłopak. Jaki on ma dar do muzyki. Potrafi grać na wszystkich instrumentach. Na harmonii, na skrzypcach, i mówić potrafi, że człowiek się dziwi, skąd on to wszystko wymyśla". Na młodszego Bronek też powiada, że to „spirytus". Bronek ostatnio przywykł do tego powiedzonka: „spirytus", przy lada okazji wtrąca to słówko, które u niego, w zależności od intonacji, w jakiej je wymawia, oznacza raz pochwałę, drugi raz naganę, ma znaczenia różne, ciepłe i nieprzyjazne. Po tym jednym słowie można poznać, czy Bronek jest w humorze, czy też go coś gryzie. Gerta zna męża i nigdy się nie myli w ocenie jego humoru. Bronek mówi: „W niedzielne wieczory siadamy sobie przed domem, każę Kazkowi brać skrzypki albo harmonię, on gra, a my śpiewamy. Różne piosenki, partyzanckie, i te dawne, które mamy zapisane w książce Boenigka, a tam jest ich wiele. Gerta lubi słuchać tych pieśni. Jedna tylko Irenka wyrodziła się. Ona przepada za nowoczesnymi, podrygiwałaby wciąż, a na stare się krzywi. Nie wiem, co z tej dziewczyny wyrośnie, boję się trochę o nią, ład na jest, przegląda się w lusterku, a za strojami przepada, za ładną kiecką poleciałaby do piekła. Dobrze nam jest w te wieczory, człowiek zapomina o zgryzotach, słucha muzyki Kazka, popija kwaśne mleko..." Melania wtrąca: „Już ja wiem, co to za mleko, ty, habanie, mleko pijesz!" Bronek mruga do mnie i ciągnie: „Więc popijamy to mleko, a ten spirytus gra i gra. Czasami przychodzi do nas dziadek Gollan. Opowiadamy wtedy o przeszłości, najwięcej o wojnie; ja o swoich stronach, a Gollan o tutejszych. Oni także przeżyli piekło. Ilu ludzi, którzy przyznawali się do Polski, Niemcy osadzili w Stuthofie. Dla tych stron Stuthof, to jak dla nas Oświęcim. Kazek lubi tego słuchać, wypytuje się, Irenka natomiast krzywi się na te opowieści. Nie wiem naprawdę, skąd się u niej bierze taka niechęć do tego tematu. Przejdzie jej to, wiem, ale się martwię. Za to Kazek jest ciekawy tych spraw. Zaprzyjaźnił się z Gollanem i włóczą się obydwaj po cmentarzach. Wiesz, co mi ten spirytus powiedział: że on musi odszukać grób prababki Boenigkowej, Weroniki. Gollan mu opowiedział, że dziad Gollan był powstańcem w 63 roku i że z Polski przywiózł sobie żonę. A ten wariat zawziął się, że odszuka grób Weroniki. Nie sprzeciwiam się, niech szuka".

Kazek wszystkie wolne chwile, całe wakacje przeznacza na wędrówki po lasach i cmentarzach. Czasami towarzyszy mu Gollan. Gollan mu powiedział, gdzie stał kiedyś kościół i że prawdopodobnie gdzieś koło tego kościoła jest pochowana jego prababka. Ale tego kościoła już nie ma. Na jego miejscu stoi stary, pochylony krzyż, a obok krzyża mała brzózka pokryta teraz świeżą zielenią. Drzew, o których opowiadał Gollan, że tu kiedyś stały, także nie ma. Przeżyły pojedyncze graby, które rosną od siebie z daleka, przegrodzone polami. Za domem Gollana stoją świerki, czy pamiętają czasy sprzed stu lat? A za świerkami i za stawem, który Gollan obsadził wierzbami, stoi grab, który kwitnie. Jest wysoki, ma rozrośniętą koronę. Pień jest barwy szaropopielatej, gałęzie pokryte są jasnozielonymi, pomarszczonymi liśćmi. Kazek powiada, że bardzo lubi te szorstkie liście z ostrymi wrębami na brzegach; lubi zapach liścia, który rozciera na dłoni. Ma on inny zapach (powiada Kazek) niż liść bzu. Jest mocniejszy, tego nie można opisać, trzeba (powiada Kazek) zerwać liść z drzewa i rozetrzeć go na dłoni, wówczas pozna się różnicę. Pośród liści zwisają pierwsze kwiaty grabowe: jedne długie i miękkie jak aksamit, a tam znowu luźne kłosy, podobne do wycinanek z papieru. W pewnej odległości od tego kwitnącego grabu stoi jego drugi brat. Niestety, powiada Kazek, to drzewo już umarło. Nie rośnie na nim ani jeden listek. Nie zakładają na nim gniazda ptaki. Czasami tylko usiądzie na suchej gałęzi kawka albo wrona. U podstawy najniższego konara wisi mała, drewniana kapliczka, bardzo dekoracyjna, lekka, jakby była zawieszona dla zabawy (powiada Kazek), lecz i ona jest pusta, przechylona, uwieszona na zardzewiałym gwoździu. Kapliczka posiada trzy ściany obudowane strzelistym daszkiem. Czwartą ścianę, frontową, tworzyła kiedyś rzeźbiona brama, którą można było otwierać i zamykać. W środku nic nie ma. Stare kobiety ze wsi (powiada Kazek) opiekują się tą umarłą kapliczką. Składają w niej kwiaty. Ale są dnie, kiedy kapliczka nie jest ustrojona, wiszą na niej uschnięte wieńce, macierzanka, astry, dalie, złocienie, liście dębu lub brzozy, w zależności od pory roku. Deszcze spłukały barwę kapliczki, nikt jej nie poprawia. Może ta kapliczka pamięta naszego pradziada? — mówi Kazek. Może pod nią przychodzili Jakub i Weronika? Może tu się zwierzali ze swoich myśli?

O stajanie od tego grabu grunt się pochyla i przechodzi w małą kotlinkę, na której dnie jest zawsze trochę wody. W czasie deszczów lub roztopów kotlinka zamienia się w staw. Przy brzegu kotlinki rosną krzaki na pół dzikiego bzu. Bez wybujał, krzaki przekształciły się w drzewa. Korony tych drzew są uwieńczone gałązkami błękitnego kwiatu. Zaś niżej, w wodzie, rośnie czeremcha. Czeremchy także wybujały. To są już prawdziwe drzewa. Kazek zna każde drzewo i każdy krzak. Powiada, że kocha drzewa. Kwiat czeremchy przypomina biały bez. Ale z bliska widać różnicę. Czeremcha ma kwiat płaski, płatki (powiada Kazek) odlatują za lada wstrząsem. Nawet przy słabym wietrze padają na ziemię jak śnieg. Czeremcha posiada zapach, który pociąga i odurza, ale w tym zapachu jest coś obcego. Takim zapachem (powiada Kazek) jest przesiąknięta kruchta kościelna, kiedy się wejdzie do niej w dzień gorący. Na pół uschłe kwiaty, które stoją na ołtarzach, przenikają mury kościoła; ich zapach znajduje się wewnątrz każdego przedmiotu. Jest zawieszony na krzyżach, obrazach i świecznikach.

A wyciągnij się, (powiada Kazek) na trawie pod rozłożystym grabem. Połóż głowę na zielonej murawie. Niech oczy przywykną do mroku, który dają liście drzewa. Niech się rozejrzą wśród tego świata, który jest przy ziemi. Oto niedaleko, tam jest wilgotno i chłodno, oczy dostrzegają wysoką roślinę (jakże piękną, powiada Kazek), jasnozieloną, o szerokich i płaskich liściach. Jest to turzyca, która nie lubi samotności, rośnie najchętniej w gromadzie. A obok widzisz sitowie leśne o łodydze jak trójgraniasta szpada, chronionej przez płaskie, szerokie liście. Kwiat sitowia jest rozrzucony na wielu gałęziach. Wygląda (powiada Kazek) jak przezroczysta bluzeczka, na której wyhaftowano drobniutkie pęki. Ile w tej trawie różnych rzeczy można zobaczyć. Ile roślin i ziół, liści i kwiatów, korzeni i łodyg o najprzeróżniejszych kształtach, wypełnionych sokami, które leczą, sprawiają ulgę w chorobie, odpędzają gorączkę. Ale są i takie, które przynoszą cierpienie. Dawniej ludzie znali się na tych roślinach. Zbierali je i suszyli. Kazek poznał niektóre z nich. Wiele nauczył się od Gollana, a więcej jeszcze od Melanii. Na strychu wiszą pęki tych kwiatów i ziół. A to lewanda, której liście nawet po ususzeniu zachowują ostry, lancetowaty kształt, to liście, łodygi i kwiaty białej lilii, które goją rany (a woda liliowa, jak nauczała Kazka Melania), użyta do mycia czyni skórę nadzwyczaj delikatną; Gerta podpatrzyła, że Irenka wykradała ususzoną lilię i myła się w jej roztworze). Wisi na belce także ususzony kwiat lipy. Cóż to za drzewo lipa! — daje wykład Kazek. Daje nie tylko piękno i cień, o której pisał Kochanowski, i kwiaty, ale i samo drzewo, lekkie, białe, zwięzłe, jest znakomitym materiałem dla rzeźbiarzy. Kazek podsunął myśl Andrzejowi, żeby z lipy wyrzeźbił Melanię albo Gollana. Kazek wziął się do roboty, wyrzeźbił człowieka, który siedzi na pniaku, jedną ręką podpiera głowę. Rysy tego człowieka są ostre, kanciaste, można się w nich od biedy dopatrzeć goryczy i smutku. Andrzej powiedział, że ten człowiek to ojciec, który rozpacza po stracie syna. Ma to być scena z wojny. Przyszli żandarmi, wywieźli syna do obozu w Stuthofie, a ojciec siedzi i rozpacza. „Całe szczęście, że to nie ja jestem" — powiada Melania. „Tc Gollan" — wyjaśnia Kazek. „Od razu domyśliłam się, że to musi być ta „piękność" — powiada Melania. „Nie znacie się na rzeźbach — mówi Bronek. — To jest nowoczesna rzeźba. Bardzo udana. Zobaczycie, że jeszcze ją będą chcieli zabrać do muzeum". Nie wiem, czy Bronek mówi serio, czy udaje, widać jednak, że jest zadowolony. „Spirytus, nie chłopak" — powiada.

Melania jest także rozkochana w lipie, pali węgiel lipowy (to przeciwko zanieczyszczeniom — skaleczysz się — powiada ciotka, — przyłóż węgiel na ranę, albo na zgorzelinę, odejdzie ci natychmiast). I wreszcie Melania zajmuje się pszczołami — kiedy przyjedzie do Bronka, musi się pokręcić koło uli. Zresztą jakich ziół Melania nie suszyła, a pomagał jej w tym Kazek. Wisiała na strychu ususzona macierzanka (na kaszel i astmę), i wianki rumianków, majeranków, rozmarynów i nogietków, i wiązki podbiału, który leczy chore płuca. Melania powiada: „Za mało dawałam mojemu Ludwikowi podbiału, gdybym wcześniej zaczęła go leczyć, może żyłby jeszcze dzisiaj?" Melania zbierała wszystko, nie darowała nawet pokrzywie. Z pokrzywy parzyła herbatę, która według niej sprawiała ulgę w dolegliwościach piersiowych. „Młodzi jesteście, habany, to się śmiejecie. Ale zaczekajcie, przyjdzie i na was kreska".

Idziemy z Melanią w stronę kanału. Mijamy ogród, potem pole, na którym rośnie żyto. Melania powiada: „Oni tu już się zasiedzieli. Nie wiedziałam, że Bronek przywyknie do tych stron. A teraz ma żonę i dzieci. Chłopcy, a zwłaszcza Kazek, za nic w świecie stąd nie wyjadą. Pięknie tu jest, las, woda, powietrze, dobrze się tu czuję, Bronek mnie namawia, żebym została. Jednak nie zostanę, za stara jestem na zmiany, a zresztą mam inne plany. Irenka moja mnie potrzebuje..." Słyszę sygnaturkę z wieży kościelnej. Zrywa się stado wron i kawek i okrąża wieżę w locie. Zazwyczaj kawki nic sobie nie robią z sygnaturki. Zrywają się do lotu jakby dla przekory, potem siadają spokojnie na murku, a sygnaturka wciąż dzwoni. Lecz tym razem kawki są niespokojne, krążą wokoło, zbliżają się do wieży. Żadna nie ma odwagi usiąść. „Ktoś tam musi być na tej wieży — powiada Melania. — Ano któż by, jak nie ten haban, Kazek. Tylko on potrafi wymyślić coś podobnego, żeby wejść na wieżę albo na jakie drzewo i stamtąd patrzeć. Ani chybi, musi tam być Kazek. „Wieczorem Melania pyta Kazka: „Byłeś na wieży, habanie?" „A skąd wiecie?" „Widziałam cię" — powiada Melania. „Boże święty, jeszcze kiedy spadnie i zrobi sobie krzywdę" — załamuje ręce Gerta. „Nie bój się, złego diabli nie wezmą" — uspokaja ją Bronek. A do mnie mówi cicho: „Spirytus, nie chłopak".

Nazajutrz poszedłem z Kazkiem na wieżę. Kazek powiedział: „Zobacz, jaki widok!" Patrzyłem z Kazkiem na drzewa, które pochylały się w łagodnym wietrze i (widok z góry!) tworzyły zielone wyspy, jakby zawieszone w powietrzu. Lecz te wyspy nie miały struktury zwartej, składały się z liści, między którymi przepływało powietrze (widzieliśmy, jak liście drżały i falowały), więc te wyspy zdawały się żyć, poruszały się, zmieniały swoje kształty, wiatr je przesuwał na lewo i prawo. W cieniu tych fantastycznych wysp ginęły drogi, dróżki, polany. Miejscami tylko, gdzie korony drzew nie schodziły się ze sobą, widać było małe zatoki i jeziora, przebłyskiwała woda.

A dalej widać było wieś. Widok z wieży na wieś był o wiele ciekawszy niż z dołu. Wszystko, co brzydkie, było zakryte przed nami. Widzieliśmy chatę Gollana, odbudowaną, ukazała nam się z boku, z pięknie oszalowaną ścianą szczytową i dekoracyjnymi słupami podcieni. Reszta domu była zakryta drzewami. Chata była na pierwszym planie krajobrazu, który nie był pogrążony w sennej, wieczornej ciszy. Chwila ta, w której stapiały się kolory nieba i ziemi, w której cień drzewa spływał wydłużoną plamą na szeroką drogę, a powietrze, dachy domów i drzewa w lesie przesycone były łagodnymi promieniami słońca, zaś bryły domów, wierzb i grabu, na którym wisiała kapliczka, zacierały się w powietrzu nasyconymi barwami, cieniami i światłem, była pełna odgłosów, nawoływań, rozmów. Wieś żyła, rozróżnialiśmy głosy tego życia.

W te odgłosy, dalsze i bliższe wszedł nagle czysty głos skrzypiec i wszystko ucichło pod wpływem tego głosu, tylko żaby, jakby rozbudzone, zaczęły rechotać przy kanale. „To ojciec gra" — powiedział Kazek. Spojrzałem na chłopaka: oczy miał błyszczące, na twarzy wypieki. „Jak mi tu jest dobrze" — powiedział.

Fragment powieści pt. „Narodziny Gerty" która niebawem ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

KONRAD FREJDLICH

Żonie

obecni w naszym dziecku
jak woda obecna jest w źródle
mamy ciała osobne
z widokiem na ogród
czasem przynosisz stamtąd
zadumę odległych równin
obecnych w przestrzeni jak stół w naszym pokoju
ważka którą swe włosy spinasz
ucieka przed moją ręką
a kiedy się pochylasz gwałtowniej od tęczy
widzę wszystkie równiny
świecące nocami obok twej twarzy
co od nich jaśniejsza

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Grzech

Po długiej wędrówce, tak długiej, że znużony raczej ugniatałem na pustyni piasek stopami, niż szedłem — narodziło się moje pragnienie. Z tego pragnienia, pożądania — narodziły się twoje wargi. Zaraz też otoczyli nas starcy, którzy zawsze mają swoje racje własne i już grzech gotów.

Postawiony przed sądem — odpowiadam za wiele win. — Okradłem okolicę z zapachów całej przyrody, chmury z zieleni, łąki z deszczu, powietrze z wiatrów. Okrzyknąłem się bogiem usiłując płodzić. Okradłem cię z najczulszych dotyków i westchnień. Pojąłem rozkosz i gorycz wzbierającą w twoim łonie, posiadłem nieprawnie rozkosz wielu źródeł. Oto wyrok: posiadłeś świadomość na długie, długie lata, bez możliwości odwołania się do wyższej instancji. I nie będzie od tego amnestii.

JERZY PORADECKI

O wierszach M. Szargana

„Na początku mojej biografii był ogień" — w ten sposób anonsuje swój nowy tom wierszy Mieczysław Michał Szargan. Kilka zdań dalej, po okrutnych, sugestywnych obrazkach z wojny, poeta kończy prezentację siebie słowami: „Gdybym nawet próbował stworzyć własną wizję poetycką, tamte obrazy będą ją przenikały. One zadecydowały o mojej przynależności po pokolenia. Nie ma przed nimi obrony".

Warto zastanowić się, co to wszystko znaczy. Szargan stwierdza, że nie on tworzy poezję, że ta poezja tworzy się sama, że wypływa cała z przeżyć 10—12-letniego chłopca. Cokolwiek by poeta nie usiłował robić, wojna nieustannie będzie odciskać swoje piętno na jego twórczości. Tkwi w tym zupełnie wyraźnie sugestia, że to co najwartościowsze w jego liryce, jest wynikiem głębokiej wrażliwości — już w latach chłopięcych.

Czy rzeczywiście tak jest? Czy rzeczywiście wojna jest przeżyciem (pokoleniowym, jak chce Szargan), kompleksem, archetypem, itd., czy to jest może biografia dopasowana? Szargan dba o własną biografię. Zaczyna ją patetycznie wierszem „Ogień". Jest to biografia pokolenia. Cały cykl „Królestwo" jest próbą konstrukcji takiej właśnie biografii. Tytuł następnego wiersza — „Pochodzenie", nieco dalej „O ojcu kotlarzu", dalej „Rodzina" itp., już może nie tak wyraźnie.

Pamięć poety przywołuje obraz chłopców wiejskich którzy

„Wchodzą do izby z dzidami
I zielone nacięcia
Przemieniają zaduch
W cielę czyste" (Powrót).

Jeszcze gdzie indziej poeta widzi:

„Z liści wyskakują ropuchy
Siadają na gałęzie i patrzą
w zamulone stawy jabłek
Kogut rosy zapiał"
(Odwiedziny).

Szargan jest manifestacyjnie barokowy lub secesyjny. Trudno mi wyraźnie wskazać tradycje, gdyż tom zawiera wiele wierszy bardzo różnych. W jednych widać przesadę w zdobnictwie, inne natomiast są wyraźnie podległe rygorom wywodzącym się właśnie z konceptyzmu barokowego. Jeden z najlepszych wierszy, „Jabłonka", cały oparty jest na zauważonym lub wymyślonym podobieństwie chudej dziewczyny i usychającej jabłonki. Barok poetycki łączy się tutaj z secesyjnym rysunkiem — wizją poetycką.

Znacznie silniej uwydatniają się wspomniane cechy pisarstwa Szargana w następnym cyklu tomu „Miecze". Oczywiście tematem głównym jest wojna. Jest prawie zasadą, że im wyżej poeta sięga, tym bardziej widoczne są jego porażki i jego zwycięstwa. Szargan, nie wahający się korzystać ze skojarzeń najodleglejszych, ponosi wyraźną klęskę, gdy pisze:

.....bucik dziecka
Któremu rączek nie złożono bo były z dymu". („Miecze"). Sformułowanie takie zakrawa na dowcip. Jednak w tym samym wierszu trafia się i taki doskonały obraz:

„Tyle ciszy w dachach
odkąd sfrunęły w ogień.
W ogrodach owoce spadają
do rąk czystych".

W tych wierszach Szargan wskazuje na fikcję własnego życiorysu. Jest to życiorys aktora. Postępowanie autora jest podobne do postępowania poety barokowego. Bezosobowa liryka, lub fikcja osobowości, przeżycie nie indywidualne, lecz pokoleniowe, nie niepowtarzalność, lecz kompleks, uraz, które ewentualnie można również uznać za archetyp.

W pojęciu krytyka nie jest to wadą, brakiem. Historia uczy nas zrozumienia dla tego rodzaju postaw. Tym bardziej, że gdy Szargan zdejmuje maskę everymana w wierszach osobistych z cyklu „Źródło", jest raczej sentymentalny. Zdecydowany sprzeciw budzi cykl „Rdza", a przede wszystkim poemat „Włada Bytomska". Byłby on banalny, gdyby nie dotyczył rewolucjonistki, lecz jakiejkolwiek kobiety skazanej na śmierć przez jakiekolwiek wypadki. I można by ten wiersz pominąć. Szargan jednak przez sam fakt napisania takiego wiersza deklaruje swoją solidarność, swoje zrozumienie, itd.

O ileż bardziej przekonywający jest stoicyzm i franciszkanizm poety.

„W krew wrzyna się sznur
więc to moja ręka
mogę ją podać człowiekowi
czuję moją rękę

Stamtąd patrzyłem na świt
jeszcze spojrzę
i uchwycę
tobołek mojego życia".
(Wyjście ze szpitala).

I Szargan smutny, wędrujący z tobołkiem w ręku do krainy swego dzieciństwa, jest najciekawszy. Może myśleć o własnych, nie posiadających wymiaru historycznego sprawach, może jako poeta układać, kombinować, wymyślać, przymierzać maski — to wszystko umie robić i robi dobrze. Stąd też najlepszym cyklem jest „Powrót". Wystylizowany narrator liryczny wędruje po wystylizowanym krajobrazie. Jest po trosze pątnikiem, po trosze Staffem; wieś jest pełna zapachu chlebowego, lub zapachu ziół, zimą wilki podchodzą pod chałupy.

Mieczysław Michał Szargan: Stół. Łódź 1969. Wydawnictwo Łódzkie. Cena zł 10.

ANDRZEJ GRUN

Trudne malarstwo Stanisława Byrskiego

Pośmiertna wystawa Stanisława Byrskiego w Salonie Współczesnym nie będzie cieszyła się nadmierną frekwencją mimo że prezentuje obrazy z gatunku przedstawiających — martwe natury, portrety i autoportrety, pejzaże. Nie są to bowiem obrazy, które mogą „ucieszyć oko", ozdobić ścianę, upiększyć wnętrze czyjegoś mieszkania. Są jak razowy chleb, którego prawdziwy smak poznaje się dopiero po dokładnym rozżuciu. Estetа odejdzie z tej wystawy zniechęcony surowością płócien. Miłośnik koloru nie znajdzie ani jednej czystej plamy barwnej. Zwolennik finezyjnego rysunku będzie zdegustowany uproszczeniami i pozornie naiwnymi deformacjami. Wreszcie amator abstrakcji uzna obrazy za nazbyt przedmiotowe.

Jest bowiem malarstwo Byrskiego wyzbyte całkowicie z elementów dekoracyjnych, upiększających, kokietujących widza łatwym czy tanim efektem. Ograniczone do kilku malarskich problemów stanowi ich ekstrakt, ich surogat najczystszy. Malarstwo to jest jednocześnie sztuką bardzo osobistą, dziejącą się na uboczu kierunków aktualnych i modnych, choć z drugiej strony w pełni świadomą istnienia tychże kierunków. Nawet abstrakcja w wydaniu Byrskiego jest inna, osobista, trochę taka „na własny użytek". Oglądając malarstwo Byrskiego — a oglądałem je kilka razy z rzędu, z trudem pokonując mur skromności i zadziwiającej szczerości, jakim oddzielone jest ono od widza — nie sposób nie ulec jego indywidualności. Klimat tego malarstwa wsącza się w nas powoli — trzeba na to czasu i cierpliwości — ale raz dotarłszy do naszej świadomości nie opuszcza jej tak prędko. Nosi się potem atmosferę tego malarstwa w sobie jak ziarno. Żywe ziarno. Gotowe kiełkować. Przyzwyczajenie do ekspozycji wytworów artystycznych jednoznacznych, jednorazowych, do „obrazów festiwalowych" (czy może „obrazów wystawowych" czyli robionych li tylko pod kątem pokazania na wystawie) natrafiamy rzeczywiście na opór w rozumieniu i odbieraniu sztuki Byrskiego, sztuki skromnej i uczciwej. Widz musi zdobyć się na wysiłek zerwania wielu zasłon aby zajrzeć do środka. Zaręczam, że trud ten opłaca się.

Byrski wyszedł ze szkoły Kotarbińskiego, a więc ze szkoły preferującej umiar, logikę kompozycji, dbałość o formę, sprawność techniczną. Zetknął się, bo musiał się zetknąć z polskim koloryzmem ale dla takich czy innych względów nie przyjął go. Od Cezanne'a wziął ogólne zasady budowania formy kolorem i podstawy kompozycji, ale przystosował je do swoich potrzeb. Uprawiał właściwie malarstwo przedstawiające, związane ściśle z naturą lecz dalekie od iluzjonizmu. Szedł za własnym instynktem malarskim i właśnie instynktowi i emocjonalnemu zaangażowaniu dawał w swojej sztuce pierwszeństwo. Postawę Byrskiego jako twórcy można określić jako w pewnym sensie romantyczną. Pragnął przekazywać własne uczucia i trafiać do uczuć odbierającego. Z serca do serca. Ta postawa winna budzić nasze szczególne zainteresowanie.

Obrazy Byrskiego są niezwykle materialne. Używając kolorów ciemnych i zgaszonych malarz nasycał swoje płótna do granic ostatecznych. Nadawał swoim martwym naturom i pejzażom zwielokrotniony ciężar gatunkowy. Był zafrapowany problemem światła i materialnością malowanej natury. Przypuszczam, że nieraz zasięgał porady mistrza Rembrandta. Bo kiedy używa koloru czystego — to wybucha on na płótnie jak płomień. Jest w granicach obrazu prawdziwym objawieniem. Trzeba długo obcować z płótnami Byrskiego, aby odkryć wszystkie ich subtelności kolorystyczne, niuanse półtonów, dyskretną grę walorów. Pozornie tylko jest to malarstwo kolorystycznie martwe.

Pod koniec życia Byrski spróbował abstrakcji. Śmierć zatrzymała go w pół kroku. Nie zdążył oczyścić swoich płócien z elementów rzeczywistości, uwolnić od form wyraźnie kojarzących się z przedmiotami fizycznymi. Nie wiadomo zresztą czy potrafiłby tego dokonać — przez całe życie związany był bardzo mocno z naturą.

ZAMACH STANU NAD JASIENIA

Dalszy ciąg ze str. 5

przyszłości. Ta dzielnica szerokich arterii posiada doskonałą informację kierunkową, ale pozbawiona jest podstawowych udogodnień, takich jak parkingi, wystarczająca sieć stacji obsługi samochodów i przejść bezkolizyjnych. Człowiek, który „zjadł zęby" na tych sprawach, młody i zapaleczywy porucznik Ryszard Rogaszewski z Komendy Dzielnicowej MO jest sam dobrym i praktykującym kierowcą. Dlatego jego zdanie streszcza w lapidarny sposób troski i żale wszystkich kierowców wędrujących ulicami Górnej. Podstawowy mankament — powiada porucznik — to chyba brak wyobraźni u planistów od komunikacji. Przecież wielkie strumienie pojazdów z Alei Politechniki, ze Śródmieścia, z Gagarina kierowane są na zasadzie konieczności na szosę wylotową — ulicę Pabianicką — gdzie patrole MO zaczynają pocić się z wysiłku, a kierowcy przeklinają nagle wąskie gardła. Tu dodać należy, że nawierzchnia krytycznego odcinka Pabianickiej jest zmorą dla kierowców, przyczyną niechlubnego określenia „szosa śmierci". Ile trzeba było wysiłków, akcji profilaktycznej, informacji, ilu środków karnych, żeby reporter w tym miejscu mógł zanotować zaskakujący spadek ilości wypadków drogowych w dzielnicy Górnej. (W stosunku do roku 1967 ilość ich zmalała o ponad 10 procent, przy czym wypadków śmiertelnych jest o 43 procent mniej.)

Górna to jednak nie tylko nowe arterie, to również straszne w swojej nawierzchni przecznice dawnych Chojen, to wreszcie ulica Rudzka, gdzie potężne wywrotki łamią resory. Jakie szczęście, że Rudzką przejechał w tym roku wyścig pokoju: nareszcie nawierzchnia się poprawiła. W ten sposób międzynarodowa impreza sportowa wpływa na losy dzielnicy nie zawsze traktowanej po ojcowsku przez władze łódzkiej metropolii.

4.

Na dalekich Chojnach i „Zatorzu" woda jest tematem numer jeden wszystkich rozmów, spotkań i wniosków. Najbardziej wstrząsające zdanie na ten temat usłyszałem z ust majora Leonarda Białkowskiego, zastępcy komendanta KD MO Górna. Powiedział po wojskowemu, lapidarnie: „Obawiamy się wypadków śmiertelnych na „Zatorzu", gdzie ludzie drążą ziemię w poszukiwaniu wody. Czynią to rozpaczliwie, bezpłanowo, za wszelką cenę."

Górna — a szczególnie jej niektóre rejony — płaci ogromną cenę za przynależność do metropolii przemysłowej. Lustro wody podziemnej obniża się, studnie wysychają — drogocenny płyn wysysają odległe fabryki. Woda to napój, higiena elementarna, gotowanie pożywienia, to wreszcie wysoka gwarancja uniknięcia epidemii różnego typu.

Kolejna nitka rurociągu znajduje się w planie, ale Górna potrzebuje wody rano, w południe i wieczór każdego dnia. Potrzebuję jej teraz. Nie można dzielnicy skazać na egzystencję Sahary. I to spędza sen z powiek władzom Górnej. Za każdą cenę — niestety — woda w wystarczających ilościach musi być dostarczana do peryferyjnych segmentów Chojen i Rudy, planowo, bez zakłóceń. Bo to już jest w tych rejonach płyn warunkujący ludzką egzystencję.

5.

Słusznie mówi się o Górnej, że jest krainą paradoksów. To widać gołym okiem. Kiedyś kpiono z wykończenia mieszkań na Dąbrowie. Kiedyś mówiono o elitarności Rokicia. Teraz jest już tylko fakt wielkiej zabudowy wciąż poszerzonej, bo niewystarczającej. Przecież nowe osiedla nie mają być wizytówką Górnej, tylko jej zasadą. Do nowych bloków przejdą mieszkańcy walących się ruder z najbliższego sąsiedztwa i z innych krańców miasta. Przyjdą ludzie gnieżdżący się w niebywale trudnych warunkach, rodziny dla których nowoczesne mieszkanie stało się celem najbliższych lat. W tej chwili ogromny to temat dla socjologa — nowe osiedla Górnej. Przemieszały się tam zawody i obyczaje, dzielnice i tradycje. Co ciekawe, tych ludzi łączy jedno: chętny udział w czynie społecznym.

Ale niech nikt nie sądzi, że wszystko odbywa się bezkonfliktowo. Cygańskie skupisko w Osiedlu 1 Maja wysunęło w swoim czasie niebagatelny argument: nad Cyganem nikt nie może mieszkać. Ten obyczaj zakorzenił się wśród czarnowłosych nomadów przez stulecia. Rzecz oparła się w końcu o władze najwyższe w państwie (i to najwyższe w dosłownym tego słowa znaczeniu). Zgodzono się z tradycją cygańską — więc powstały w granicach osiedla domki parterowe. A poza tym, cóż: mają Cyganie własną spółdzielnię pracy. Młodzież wstępuje do ZMS, zżyli się z Górną na stałe.

6.

Górna — hotel czy dom rodzinny? Śmieszny dylemat, ale jednak istnieje. W tej dzielnicy na styku ze Śródmieściem istnieje parę kin niższych kategorii. Na Przybyszewskiego jest nawet zero-ekran „Wolność"... Ale jaka droga wiedzie z Przybyszewskiego na stare Chojny! Równie dobrze można się wybrać do „Bałtyku" jak się już jest w tym centrum kulturalnym Łodzi. W samym sercu dzielnicy istnieje tylko jedno kino „Muza". A poza tym nic. Powiedzmy sobie szczerze, że ośrodki kultury masowej na Górnej nie istnieją. Podobnie zresztą jak ośrodki sportowe (żeby być ścisłym, dodajmy, że trwa budowa nartostrady na Rudzkiej Górze).

Kiedyś prof. Żygulski robiąc analizę frekwencji kinowej w Łodzi i Katowicach stwierdził autorytatywnie istnienie „białych plam", wskazał na całe skupiska ludzkie, które w kinie bywają raz do roku albo wcale nie. Taką białą plamą są niektóre rejony dzielnicy Górnej. Tu, rzecz jasna, nie chodzi tylko o kino. Jeśli „Zamach stanu" ma się w pełni udać — jeśli ten wielki rejon Łodzi ma w rzeczywistości zintegrować się z miastem, to bez bliskiego sąsiedztwa ośrodków przekazu wartości artystycznych i rozrywkowych sprawa wygląda kłopotliwie. Ktoś zapomniał może, że w Łodzi istnieje Teatr Ziemi Łódzkiej, któremu od czasu do czasu bliżej byłoby na Józefów niż do Sieradza; ktoś zapomniał, że planowana na przyszłość budowa kina-giganta na Pl. Niepodległości bynajmniej nie rozwiąże problemu; ktoś wreszcie zapomniał, że sieć klubów, atrakcyjnie urządzonych kawiarni to dla Łodzi również — a może przede wszystkim — problem dzielnicy Górnej. W żadnym z tamtejszych nowych osiedli nie zbudowano placówki kulturalnej. Zbyt wiele zapomnienia, jak na 200 tys. mieszkańców.

Więc może przedstawię trasę niedzielną części chojeńskiej młodzieży: knajpy „Górniak" i „Gwarna", potem długa droga Rzgowską z odwiedzinami w melinach pijackich. Punkt zborny — tzw. Czerwony Rynek. Tam można spotkać przedstawicieli wiadomego „elementu" — no i o drakę nie trudno „gdy ma się dziewiętnaście lat i nic poza tym".

Czyżby tylko organom MO pozostawiono opiekę nad tą młodzieżą? Ale przecież milicja ma zakres zadań i środków ograniczony: zapobiega, doraźnie karze, ochrania spokój społeczny. Nie wymagajmy od zmęczonych dzielnicowych umiejętności opowiadania bajek, odgrywania kowbojskich filmów, wykonywania arii operowych i nauki gry w szachy.

7.

Górna jest na dobrej drodze, bo się przekształca, bo jej obraz w stosunku do lat nie tak bardzo odległych uległ kardynalnej zmianie. W tej dzielnicy zaplanowano dużo dobrych, pożytecznych rzeczy. Wiele również zrobiono. Jednak dalej jest to kraina paradoksów, chociaż zasługuje na całkowite równouprawnienie z resztą Łodzi.

Takim jaskrawym kontrastem jest istnienie pięknego, nowoczesnego wiaduktu chojeńskiego, który przeniósł granice Łodzi od neonów „Uniwersalu" aż po kolejowe tory.

ROBERT GLUTH

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

LUDZIE XXV-lecia

Adam Hanuszkiewicz czyli poszukiwanie permanentne

Zazdroszczę tym, którzy wierzą, że *„autor sam już wszystko napisał"* i że *„wystarczy tylko to przenieść na scenę"*. Zazdroszczę tym, którzy uważają, że reżyseria polega na *„rozdaniu ról wybitnym aktorom i nie przeszkadzaniu im w zrobieniu przedstawienia"*. (...) Teatr to (...) stworzenie organicznego świata z wielu różnorodnych elementów nawzajem się przenikających i wspierających. (...) A reżyseria to także akt odwagi. To stały mariaż maksymalnego ryzyka z maksymalną odpowiedzialnością.

A. Hanuszkiewicz
(w programie do „Nieboskiej Komedii")

Choć sylwetka artystyczna Adama Hanuszkiewicza jest powszechnie znana, rozpocznijmy od skrótowej biografii aktorskiej i reżyserskiej, która pokrywa się niemal w czasie z XXV-leciem Polski Ludowej.

Debiut sceniczny w 1945 roku w Rzeszowie w roli Wacława w „Zemście". Było to od razu „pływanie na głębokiej wodzie", gdyż Hanuszkiewicz ukończył wówczas zaledwie 1-miesięczne studio aktorskie. Ten przyspieszony start w zawodzie był zresztą typowy dla pierwszych miesięcy po wojnie.

Dyplom aktorski zrobił Hanuszkiewicz eksternistycznie w PWST w Łodzi w w 1946 roku, a dyplom reżyserski — również eksternistycznie — w 1962 roku w Warszawie.

Kolejne ogniwa teatralnego curriculum vitae to Jelenia Góra (1946—47), Teatr im. Słowackiego w Krakowie (1947—49), Teatr Rozmaitości w Warszawie (1949—50, za dyrekcji Dobiesława Damięckiego), Teatr Polski w Poznaniu (1950—55, częściowo za dyrekcji Wiłama Horzycy), Teatr Polski w Warszawie (1955—57), Teatr Powszechny (1957—61), Teatr Dramatyczny m. st. Warszawy (1962). Od 1963 r. — dyrekcja Teatru Powszechnego, a od 1968 — Teatru Narodowego (z zachowaniem dyrekcji TP).

W latach 1957—63 Hanuszkiewicz obok pracy w teatrze pełnił funkcje głównego reżysera Telewizji Polskiej, a od 1963 r. kieruje telewizyjnym „Studio 63".

Role aktorskie, które sam Hanuszkiewicz ceni sobie najwyżej, to: Konrad w „Wyzwoleniu", molierowski Don Juan, Raskolnikow w adaptacji „Zbrodni i kary", Poeta w „Weselu" i Fantazy. Najdonioślejsze prace reżyserskie (również jego własnym zdaniem) stanowi „Wesele", „Wyzwolenie", „Zbrodnia i kara", „Fantazy" i ostatnia premiera „Nieboskiej Komedii" w Teatrze Narodowym.

* * *

Kto zetknął się z Hanuszkiewiczem w pracy, ten wie, że jest to „duch niespokojny", nie zadowalający się tym co osiągnął, stale poszukujący czegoś nowego. Miałem okazję wielokrotnie z nim rozmawiać, ostatnio po premierze „Nieboskiej", z myślą o artykule dla „Odgłosów". W oparciu o te rozmowy, jak i o obserwację osiągnięć artystycznych Hanuszkiewicza spróbuję wyłożyć tu jego credo jako człowieka teatru i telewizji.

Charakterystyczna jest jego niechęć dla kroczenia drogami uprzednio udeptanymi przez innych, albo nawet przez samego siebie. Dopiero zejście z wytyczonego szlaku, przedzieranie się przez teren nie zbadany stwarza, zdaniem jego, szansę ambitnego zmierzenia się z materią przyszłego widowiska, daje satysfakcję twórczą.

By nie być gołosłownym, przedstawię dwa dowody: jeden z dziedziny teatru, drugi — telewizji.

A więc potwierdzeniem samotniczej drogi podejmowanej najchętniej przez Hanuszkiewicza jest tak częste opieranie swoich spektakli o adaptacje literatury niedramatycznej. „Zbrodnia i kara", „Kolumbowie", „Przedwiośnie", „Pensja pani Latter", „Pan Wokulski" — to niepełna jeszcze lista przedstawień zrodzonych z adaptacji. W większości wypadków przyswojenie dramaturgiczne tekstów literackich scenie było dziełem samego reżysera, w nielicznych wypadkach adaptacji dokonał kto inny, ale specjalnie dla Hanuszkiewicza i w ścisłej z nim współpracy. Z reguły nie sięga on po adaptacje już istniejące i grane uprzednio przez inne teatry.

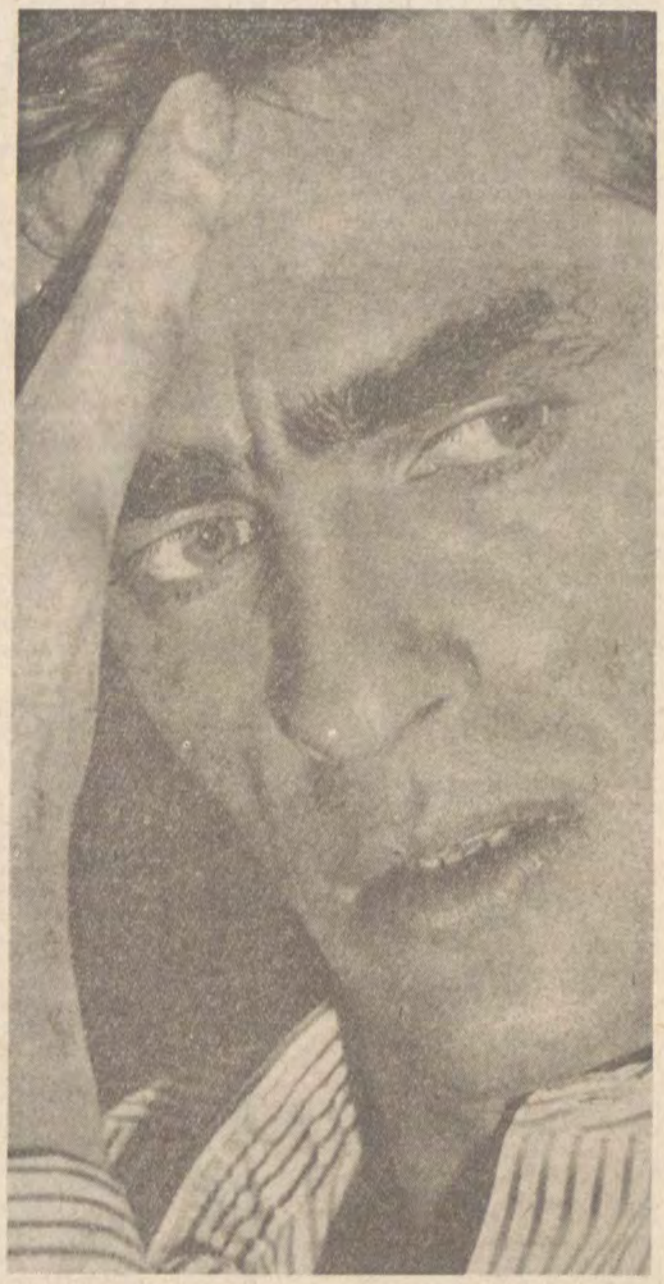

Drugi dowód dotyczy teatru telewizji. Hanuszkiewicz jest w dużej mierze twórcą takiego kształtu teatru TV, jaki oglądamy na naszych ekranach. Był jednym z pierwszych ludzi teatru, którzy opanowali telewizyjne środki wyrazu. W tym pionierskim trudzie odniósł wiele znakomitych sukcesów reżyserskich i aktorskich. Dziś wielu reżyserów telewizyjnych kroczy tą wypracowaną przez Hanuszkiewicza drogą, tylko on sam porzucił ją dla poszukiwań nowego gatunku widowiska, nowej ekspresji. Przykłady? „Telepatrzydła pana Prusa" i „Obrachunki boyowskie" realizowane w ramach „Studia 63".

Wróćmy jednak do artystycznego credo! Teatr mówi Hanuszkiewicz, to budowanie — przy współudziale aktorów, scenografa i muzyka — własnego kształtu dzieła literackiego. Jest to działanie bardzo osobiste i prowadzone na własną odpowiedzialność.

A więc nie powielanie kształtów scenicznych już oglądanych, ani nie niewolnicze postępowanie za tekstem literackim. Takie przedstawienia nazywa Hanuszkiewicz szarymi, będącymi jedynie udźwiękowieniem literatury.

Jakie są zatem granice wierności strukturze literackiej, którą się transponuje na scenę? Wyznacza je poczucie odpowiedzialności inscenizatora. Spektakl musi bowiem przybrać taki kształt, by jego relacje z kształtem tekstu dramatycznego były czytelne, sprawdzalne. Dlatego za absurd uważa Hanuszkiewicz wszelkie podziały na teatr formy i teatr intelektualny. Poza formą nie ma sztuki teatru. Treść jest formą.

Bo przecież nawet intonacja i gest aktora służą wyrażeniu myśli, mają wartość semantyczną. Z poszczególnych warstw znaczeniowych, tkwiących w grze aktorskiej, w plastyce, w muzyce, rodzi się synteza. Wielopłaszczyznowość środków w teatrze i trudne zadanie podporządkowania ich jednolitej intencji powoduje, że widowisko sceniczne przede wszystkim wyraża siebie, a w dalszym planie dopiero wystawianą literaturę.

W pracach wstępnych nad tekstem — tak było z „Nieboską" — Hanuszkiewicza interesuje tylko rzeczywistość dana przez autora. Tylko to, co w tekście, nic z tego co ponad nim, pod nim, albo obok niego. W budowaniu przedstawienia nie ucieka się więc do źródeł ubocznych, do podręcznika historii, do cudzych interpretacji. Z własnego odczytania tekstu literackiego tworzy Hanuszkiewicz jego projekcję sceniczną.

Wspomniałem już wyżej, że część — i to znaczną! — swego wysiłku kieruje na poszukiwania w zakresie sztuki telewizyjnej. Nie interesuje go już telewizja jako środek przekazu sztuki teatralnej czy filmowej. Uważa, że szansą telewizji jest anektowanie obszarów pozateatralnych i pozafilmowych, jeszcze nie ruszonych. Z tego zrodzić się mogą specyficzne, nowe formy telewizyjne.

* * *

Osobnego szerszego omówienia wymagałaby sztuka aktorska Hanuszkiewicza. W wąskich ramach tego artykułu ograniczmy się do stwierdzenia, że i na tym polu jest on artystą samodzielnym i poszukującym.

Interpretacje Hanuszkiewicza mieszczą się z pewnością w tym, co zwykło się nazywać aktorstwem intelektualnym, co oznacza, że nie wciela się on ze ślepym posłuszeństwem autorowi w przedstawianą postać, lecz towarzyszy tej postaci własnym „prywatnym" procesem myślowym. Metoda ta doprowadziła Hanuszkiewicza także i w telewizji do znakomitych rezultatów. Miarą znaczenia jego jako aktora we współczesnym teatrze polskim jest fakt, że udało mu się stworzyć pewien wzorzec, który znalazł wśród młodszych kolegów wielu naśladowców.

* * *

Plany na przyszłość? Prosiłem Hanuszkiewicza, żeby się nie krępował, żeby zdradził najskrytsze, nawet nierealne zamiary. Ale odpowiedź padła konkretna. Plany i realizacja idą u Hanuszkiewicza ściśle w parze.

A więc „Święta Joanna" Shawa (z Kucówną w roli tytułowej) i „Rzecz listopadowa" Brylla w Teatrze Narodowym, „Kordian" Słowackiego na jubileusz Teatru Powszechnego (w roli tytułowej młody aktor, Andrzej Nardelli, który zadebiutował na scenie w roli Orcia w „Nieboskiej").

W telewizji zamierza Hanuszkiewicz zrealizować widowiska w oparciu o publicystykę Marii Dąbrowskiej i udramatyzowane opowiadanie tejże autorki „Na wsi wesele", później „pójdzie" publicystyka Karola Irzykowskiego, dramatyzacja utworów Jamesa Joyce'a i...

Może na razie ograniczymy się do tych zamierzeń.

* * *

Pod koniec naszej rozmowy Hanuszkiewicz wypowiedział swój pogląd na sytuację teatru w Polsce Ludowej.

— Uważam nasz współczesny teatr za żywy, znajdujący się w rozwoju. Poszerzyła się przede wszystkim w ciągu XXV-lecia widownia. Dla przykładu: Teatr Powszechny gra już od sześciu lat „Wesele" Wyspiańskiego. Spektakl poszedł już ok. 250 razy i wciąż ma publiczność. To o czymś świadczy. Przyglądając się całości naszego życia teatralnego, stwierdzić trzeba, że teatry spełniły swoje społeczne zadanie. Wykorzystały historyczną szansę, wobec której stanęły w roku 1945.

Spektakle tygodnia

	Liczba spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Romans gdański	3	3780	100
„Tragedyja albo rzecz o Janie i Herodzie"	1	1260	100
„Kniaź Igor"	1	1260	100
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	2	1400	100
„Czerwone pantofelki"	5	2500	60
„Życie jest snem"	2	1000	75
MAŁA SALA			
„Szkoła kobiet"	3	540	90
„Bliski nieznajomy"	2	300	75
POWSZECHNY			
„Kawior i kaszanka"	2	1100	85
„Czarna komedia"	2	1200	90
im. JARACZA			
„Anabaptyści"	1	50	80
„Ania z Zielonego Wzgórza"	2	1260	100
7.15			
Bajka o krasnoludkach i sierotce Marysi	3	1245	98
OPERETKA			
„Turniej w Rio de Maracasso"	6	4541	67

Z listów Roberta Schumanna

JEDNĄ Z NAJPIĘKNIEJSZYCH MIŁOŚCI BYŁA MIŁOŚĆ ROBERTA SCHUMANNA I KLARY WIECK. ALE NIE BYŁA TO MIŁOŚĆ ŁATWA. LATA CAŁE MUSIELI OBOJE WALCZYĆ O TO, ABY POZYSKAĆ WZGLĘDY I ZGODĘ OJCA KLARY — FRYDERYKA WIECKA. HISTORIA SCHUMANNA I KLARY — STAŁA SIĘ TEMATEM WIELU KSIĄŻEK, A TAKŻE OSNOWĄ FILMU AMERYKAŃSKIEGO, KTÓRY MOGLIŚMY NIEDAWNO OGLĄDAĆ NA EKRANACH NASZYCH TELEWIZORÓW. PO TRAGICZNEJ ŚMIERCI SCHUMANNA (RZUCIŁ SIĘ W NURTY RENU I CHOCIAŻ GO URATOWANO, DO ZDROWIA JUŻ NIE POWRÓCIŁ), KLARA POŚWIĘCIŁA SIĘ PROPAGOWANIU JEGO MUZYKI. ODRZUCIŁA NAJBARDZIEJ PONĘTNE OFERTY MATRYMONIALNE, JAKO WYBITNA PIANISTKA JEŹDZIŁA Z KONCERTAMI UTWORÓW SCHUMANNA PO CAŁEJ EUROPIE.

Z OBSZERNEGO TOMU LISTÓW ROBERTA SCHUMANNA WYBRALIŚMY KILKA FRAGMENTÓW, KTÓRE PO RAZ PIERWSZY UKAZUJĄ SIĘ W PRZEKŁADZIE NA JĘZYK POLSKI.

DO KLARY — 13 LUTEGO 1836

Sen klei mi powieki. Już od dwóch godzin czekam na dyliżans. Drogi tak są zniszczone, że może dopiero o godzinie drugiej ruszymy w dalszą podróż. Widzę Cię tuż-tuż, stoisz tak blisko przy mnie, moja droga kochana Klaro, iż zdaje mi się, że mógłbym objąć Cię ramieniem. Dawniej umiałem wszystko wypowiedzieć delikatnymi słowy jak bardzo do kogoś jestem przywiązany. Dziś już nie potrafię. I jeśli Ty tego nie wiesz, nic Ci mówić nie będę. Kochaj mnie tylko mocno — słyszysz — żądam wiele dla siebie, bowiem sam wiele daję.

Robi się ciemno w izbie. Pasażerowie śpią obok mnie. Na dworze prószy śnieg. Wciskam się w kąt, z głową na poduszce, i myślę jedynie o Tobie. Bądź zdrowa Klaro!

DO OJCA KLARY — 13 WRZEŚNIA 1837

Dziś Klary urodziny, dzień, w którym to co dla mnie w świecie Najmilsze, ujrzało po raz pierwszy światło dzienne — dzień, w którym od dawna rozmyślam również o sobie, jako że ona tak mocno wtargnęła i w moje życie. Wyznaję, że nigdy jeszcze nie myślałem tak spokojnie o mojej przyszłości, jak właśnie dzisiaj. Nie lękam się niedostatków, które rozum ludzki przewidzieć może, mam piękne plany w głowie, młode, szlachetne serce, ręce do pracy, świadomość wspaniałego pola działania i do tego jeszcze nadzieja, że podołam wszystkiemu, czego ode mnie oczekują, szanowany i kochany przez wszystkich — czyż to nie dosyć!

Ale cóż znaczy to wszystko wobec bólu, że oddzielony jestem od celu moich starań, od tej, która kocha mnie serdecznie i wiernie. Pan zna tę jedyną, Pan, szczęśliwy ojciec, zna ją dobrze. Proszę spytać samego siebie, czy to co mówię, nie jest prawdą.

Przez osiemnaście miesięcy poddawał mnie Pan próbie, doświadczał ciężko jak los. Czyż śmiałbym gniewać się na Pana! Uraziłem Pana głęboko, ale i Pan kazał mi cierpieć niemało!

Z DZIENNIKA — 14 PAŹDZIERNIKA 1837

List Klary uniósł mnie w niebiańskie rejony, dodał siły i zapału. Zaczyna się nowe życie. O godzinie dziewiątej w domu i, płacząc szczęśliwy mi łzami, wciąż myślę o niej...

DO KLARY — 3 STYCZNIA 1838

Kłócić chciałbym się, ach, kłócić prawdziwie — zasługujesz na to... Ale dziś znowu tak piękne błękitne niebo, już od czterech dni ciepło jak na wiosnę. Oto ranek noworoczny, jakiego jeszcze nie przeżywałem, tak szczęśliwy, rześki — gdyż ciężki był, ważki ten rok 1837. Czy przemyślałaś wszystko, czy dobrze to rozważyłaś? Swoją przyszłość złożyłaś w moje ręce — czy uważasz, żem wart i godnym Ciebie?

DO KLARY — 13 KWIETNIA 1838

Wspaniale jest teraz u mnie i w mojej izbie. Niebo bez chmur, słońce jakby skąpane w błękicie, w parku — coraz więcej zieleni. A gdzie może być teraz Moja Miła?

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Dziura

„Piękna nasza Polska cała" — oznajmił Pol w głośnym poemacie opisowym. Mimo to nie wyszedł w nim poza jeszcze jedną pochwałę kilku tylko regionów, otaczanych od pokoleń szczególnym sentymentem i wielekroć opiewanych. Geografia zainteresowań pisarskich Polską całą w praktyce przypomina tramwaje: jeżdżą nie zbaczając na milimetr z wytyczonych tras i jeżdżą stadami.

Zna ową prawdę każdy pisarz współczesny, że nie ma terenów ciekawych pisarsko i nieciekawych. Jednakże znamy, jako już po trosze warsztatowo-historyczne, pojęcie tematu — barwnego. Literatura zaangażowana przeszłości, do czasów Żeromskiego, z racji aktualnych klęsk politycznych, dla „krzepienia serc" i „przerabiania zjadaczy chleba" chętnie uciekała do takich właśnie barwnych tematów z dziejów ojczystych. Do jednego z ulubionych należał: Zygmunt i Barbara, ponieważ w decyzji króla dopatrywano się swoistego demokratyzmu i triumfu charakteru nad brudnym politikierstwem. Akcja tych utworów toczyła się wyłącznie na zamkach: wileńskim i krakowskim. Żaden z autorów nie wyciągnął konsekwencji fabularnych z faktu, że główny akt dramatu: konfrontacja króla ze Stanami — rozegrał się na zamku w Piotrkowie. Przykład drobny, ale **pars pro toto.** Wskutek przedziwnej trwałości owego zjawiska, o którym na wstępie Piotrków, mimo dzisiejszych osiągnięć miasta również i na polu przemysłu, kojarzy się reszcie Polski z takimi wyłącznie wiadomostkami, jak „miasto emerytów" i „miasto, he, he, aż gubernialne". O tym że był on w „złotym wieku" sejmową stolicą Polski, miastem niemal stołecznym, miastem doniosłych konstytucji, elekcji, hołdów pruskich wiedzą właściwie tylko historycy. Ale, jak wiadomo, historycy naszych dni w praktyce realizują zasadę wiedzy zamkniętej, hołdując przekonaniu, że majestat nauki wymaga ubóstwa języka i pisania w konwencji „nudy na pudy". Jeśli wierzyć Stanisławowi Koźmianowi i ostatnio Szewerze, który podjął i rozwinął argumenty znakomitego anglisty, blaski i cienie panowania Ziemowita IV, księcia na Rawie Mazowieckiej natchnęły Szekspira do napisania „Opowieści zimowej"... Nie zainteresowały jednak żadnego z pisarzy polskich. W dobie „krzepienia serc", i dotychczas, nikt z piszących nie przekazał świadomości i dumie narodowej obrazów szesnastowiecznego rozkwitu takich prowincjonalnych ośrodków miejskich, zarazem wspaniałych ognisk kultury humanistycznej, jak Brzeziny (kojarzące się dziś co najwyżej z przedwojennymi tradycjami tandeciarskiego krawiectwa chałupniczego), zwane tamtocześnie „parva Cracovia", miasta świetnej szkoły, której wychowankiem był m. in. Maciej Stryjkowski, miasta, w którym działali wtedy Frycz-Modrzewski, Andrzej Burski, Grzegorz Paweł, a rzeźbił Jan Michałowicz z Urzędowa; jak Wieruszów, który, dzięki szczęśliwej w skutkach rywalizacji szkół wyznaniowych i zapałowi pedagogicznemu znakomitego humanisty Andrzeja Calagiusa, był wtedy — czy nie jedynym w Koronie i na Litwie? a może i poza granicami? — miastem bez analfabetów; jak wreszcie nieznana dziś nikomu Widawa, miasto świetnej „Akademii Widawskiej". Nie tknęły dotychczas pióra wielkiej, zaskakującej wprost, aktywności politycznej miast w okresie Sejmu Czteroletniego i „czarnej procesji" — ruchu, w którym przodowały miasta „dziurawego" regionu, zwłaszcza Sieradz. Kto w Polsce, poza zaprzysięgłymi znawcami historii Łodzi, przed ukazaniem się w Wydawnictwie Łódzkim „Kawalera Różanego Krzyża" Bieńkowskiej, słyszał o działalności prezesa Rajmunda Rembielińskiego, jednego z najzasłużeńszych, obok Staszica, polskich działaczy gospodarczych w I poł. XIX w.? Z wielu dziesiątków znakomitych działaczy, mężów stanu, uczonych, historyków (z Długoszem na czele), pisarzy (mniejsza o Paska — sam siebie kreował na niepowtarzalną postać literacką — ale choćby nikomu nie znany Molski, żołnierz-poeta, konfederat barski — kapitalna indywidualność!) tylko dwie postacie stały się bohaterkami literatury i filmu: Księżna Łowicka i Szambelanowa z podłowickich Walewic. Żołnierz-rewolucjonista, rodem z podłowickiej Soboty, Artur Zawisza, stracony za udział w powstaniu Zaliwskiego w 1833, nie dostąpił szczególniejszych faworów cesarskich, więc, jak widać, jest zbyt regionalny, by dopełnić warunku koniecznego na postać literacką. Nie znalazły miejsca na kartach literatury nowszej tradycje rewolucyjne Tomaszowa, miasta, które wydało najaktywniejszych, po Waryńskim, „pierwszych proletariatczyków"; tradycje walki o szkołę polską i wydarzeń rewolucyjnych lat 1905—1907, niezwykle burzliwych w tym regionie, nawet w tak zdawałoby się sennych miasteczkach, jak Szadek i do niedawna Zelów. Dziwne, ale czeka na przypomnienie twórczość i działalność polityczna Anny Sokolicz ze Szczercowa — pisarki i komunistki, zamordowanej przez hitlerowców w Oświęcimiu.

O cóż chodzi? Po co ten długi rejestr? (A przecież poloniści i historycy mi świadkiem, jak bardzo niepełny i wyrywkowy!) Czy zadaniem literatury ma być skwitowanie powieścią bądź esejem każdej wybitniejszej postaci, każdego miasteczka i co drugiej wsi? Nie. Natomiast zadaniem literatury — choć wiadomo, że nie jedynym — jest danie pełnego, zatem o ileż pełniejszego, niż to obecnie mają miejsce, świadectwa prawdzie, że „piękna Polska cała". Przymiotnik wyraża tu wartości szersze od ściśle estetycznych. Zadaniem literatury jest niedopuszczanie do istnienia „dziur".

Nie fetyszyzując siły oddziaływania literatury, zdajmy sobie przecież sprawę z zależności między „białą plamą" w geografii literackiej a niedostatkami patriotyzmu lokalnego, przywiązania i poczucia dumy z określonej „małej ojczyzny". Nie tylko socjologia, ale doświadczenie i zdrowy rozsądek — uczą zgodnie, że bez tych uczuć patriotyzm jest niepełny, nie wolny od powierzchownej deklaratywności i nieodporny na zarażenie się kosmopolityzmem czy czysto konsumpcyjnym stosunkiem do życia. Bez patriotyzmu lokalnego wreszcie wszelka prowincja w odczuciu jej mieszkańca zmienia się automatycznie w „mordobijski powiat", a on sam w Piotra Płaksina, przeklinającego los i siedzącego, nie tylko w domu, ale i w pracy, na walizkach. Z doniosłości wychowawczej wiedzy o regionie i rozbudzenia uczuć do „małej ojczyzny" przez literaturę o takich właśnie walorach zdaje sobie w pełni sprawę szereg kuratoriów i egzekwuje włączanie tych rzeczy do nauki przedmiotów humanistycznych. Mam w tej chwili pod ręką książkę do użytku liceów w Krakowskiem pt. „Dzieje ziemi krakowskiej w wypisach". Widziałem analogiczne podręczniki dla uczniów Śląska i Pomorza Zachodniego, natomiast wypisów o Łodzi i regionie w zestawie podręczników mego syna nie znajduję. Na szczęście, zaraził się ode mnie odnośnym bakcylem i grzebie w mojej bibliotece.

Doświadczenia wynoszone ze spotkań autorskich każą stwierdzić, że wiedza o regionie w regionie jest bardzo na ogół nikła i bałamutna. Dałem dwa orzeczniki, bo właśnie jest dwojaka: u starszych najczęściej, jak by to określił namiestnik Skrzetuski, „przedziwne materii pomieszanie" — u młodych pragmatycznie bezbłędna... pustka. O tym jak silnie literatura kształtuje patriotyzm lokalny świadczy przykład z Soboty. Młodzież tego miasteczka nie kojarzy sobie wprawdzie nazwiska Artura Zawiszy ze „starożytnymi" — jej określenie — grobami szlachciców Zawiszów w miejscowym kościele, bo najczęściej nic o tym swoim ziomku nie słyszała, natomiast dumna jest z samego miasta: że „bardzo starożytne" i ważne, bo sam Henryk Sienkiewicz mówi o nim w „Potopie". Do tych miast i miasteczek bardzo jeszcze powoli — m. in. w skutek znanych wad w dystrybucji księgarń i schematyczności polityki zakupów do bibliotek — niemniej napływają już niezbyt jeszcze liczne, lecz coraz liczniejsze książki o ich regionie.

Ślęczałem niedawno sporo czasu nad Estreicherem, powojennymi wydawnictwami bibliograficznymi i wykazami bieżących opcji wydawniczych. Chodziło właśnie o bliższe zorientowanie się, jak reprezentowany jest ten region w literaturze, od Józefa Korzeniowskiego po dzień dzisiejszy. Wnioski ogólne co do stanu w tej mierze przed rokiem 1960 sformułowałem w poprzednich akapitach. Szczegółowe wyniki poszukiwań są na pewno niekompletne. Jakiś zobowiązujący rejestr wymagałby wielu tygodni pracy, na co nie mogę sobie teraz pozwolić, zwłaszcza że znalezienie jeszcze 5—10 pozycji od lat niedostępnych, poza kilkoma bibliotekami w kraju, i najczęściej martwych już od narodzin — niczego tu właściwie nie zmienia. Do 1939 roku naliczyłem 22 książki związane z regionem, z czego „żyje" ledwie kilka. W olbrzymiej większości są to książki związane z Ziemią Łowicką — jedyny modny u nas region od czasów Chełmońskiego po erę cepeliowską, choć moda ta, mimo przetarcia drogi przez Reymonta, najsłabiej dała o sobie znać właśnie w literaturze. Po kilka książek przypada na Piotrków „cum boris, lasis et graniciebus", Ziemię Sieradzką, i zaplecze Poddębic. Charakterystyczne, że kariera, jaką zrobił w literaturze kontuszowy diabeł łęczycki, okazała się karierą wyłącznie diabła, a nie jego dominium. Jedynie w „Borucie" K. Glińskiego Łęczyca jest czymś więcej niż wystające prosto z błota „nawiedzone" zamczysko i ukazana jest tam w dość istotnym okresie swych dziejów (rokosz Zebrzydowskiego).

Mniej więcej od 1960 r. literatura podejmuje szereg aktów niszczycielskich wobec owych „białych plam". Ogółem (łącznie z tymi w druku i na umowach) objęła, jak dotąd 56 tytułów. Z tego na Wydawnictwo Łódzkie przypada 39 (nie liczę tu książek o samej Łodzi, które dochodzą do setki). Są to literackie opracowania szczególnie tu bogatego pogranicza historii i legendy (Piotrowski, Stępowski), reportaże po tropach przeszłości (Szewera, Giegier) i współczesne (Papier, Biliński), powieści historyczne (m. in. Rymkiewicz, Bieńkowska, Dybowski), proza okupacyjna (Szuster, Papier), współczesna (Papier, Rymkiewicz), szkice monograficzne i eseistyka (Warneńska, Muszyńska-Hoffmanowa). A przecież ambicje i zainteresowania wydawnictwa oraz jego zaplecza literackiego bynajmniej nie ograniczają się do tej tematyki — byłoby to bardzo opacznym rozumieniem Polowej pochwały „Polski całej" przez pisarzy tejże (bez dodatkowej ograniczającej przydawki) i rozszerzony wydatnie w ostatnich czasach profil nie stawia im sztucznych tam.

Postępy w zapełnianiu nie zapisanych kart, w konsekwencji zasypywanie „dziury" w świadomości społecznej są wspólnym rezultatem pracowitości i dojrzałości łódzkiego (ongi monopoetyckiego) środowiska pisarskiego, pewnych nowych, zdrowych tendencji (antystadowość i antysnobizm) zaznaczających się w życiu literackim reszty kraju, wreszcie — inspiracyjnej działalności (jakkolwiek nie jednokierunkowej) Wydawnictwa Łódzkiego. Bez tej ostatniej można bowiem jedynie, jak to doskonale wiedzą wszystkie bez wyjątku redakcje na najpiękniejszym ze światów — wydawać ...debiuty poetyckie.

Można by zamknąć te dość gorzkie aż do ostatniej części rozważania odśpiewaniem w tym miejscu nieuchronnego requiem dla „dziury" i przekształcić tę wypowiedź w jeszcze jedno optymistyczno-jubileuszowe „podsumowanie". Można by... gdyby nie to, że owych nie zapisanych kart jest strasznie dużo, dziura w świadomości społecznej wcale nie płytka, a wydajność dojrzałych twórców, że tak określę, „profesjonalnych", ma swoje granice. A więc problem na lata całe, a potrzeby pilne. Czy są możliwości jakichś rezerw? Przyspieszenia tej pracy? Ostatni, w sumie udany, moim zdaniem, eksperyment z grupą aktywistów łódzkiego Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, któremu patronuje doświadczony pisarz, nowy edytor łódzkiej oficyny Wiesław Jażdżyński, otwiera pod tym względem nowe ciekawe możliwości (eksperyment nie mniej korzystny i dla rozwoju samych młodych). Klubowcy ci weszli w kontakt z władzami historycznego i ambitnego powiatu brzezińskiego i otrzymawszy wszelką pomoc od materiałowej do innej, o dziwnie podobnym źródłosłowie, rozpisali wczoraj i dziś Ziemi Brzezińskiej na szereg reportaży, opowiadań i esejów. Narodziła się książka „Brzezińskie spotkania" (w druku). Byłoby nad wyraz słuszne, żeby podobne inicjatywy podjęły i inne powiaty, zwłaszcza te oddalone od „Ziemi Obiecanej" i najmniej, a najniesłuszniej, w kraju znane, jak pajęczański, wieruszowski, zduńskowolski. Rezerwy to także osamotnieni z natury rzeczy, pisujący często tylko do szuflady, zamieszkali w głębi powiatów znawcy i miłośnicy regionu i jego, z własnej inicjatywy, kronikarze. Rezerwy to młodzi „uczniowie czarnoksiężnika", nieraz o wybitnych talentach, ale znajdujący się jeszcze na etapie satysfakcjonowania widokiem swego wydrukowanego nazwiska nad co dziwniejszymi zestawieniami słownymi. Rezerwy!

„Rezerwy ostatecznie decydują o wygranej" — jak powiedział Napoleon. Kiedy — nie wiem, ale bez wątpienia musiał powiedzieć. Był to przecież człowiek bardzo mądry, nie mówiąc już o tym, że poprzez związek z panią Walewską — prawie że nasz regionalny ziomek — z Kiernozi.

Ada Kierzkowska — *Kilim — „Hiroszima".*

A więc od dziś za dwa lata będziesz moją żoną — słyszysz? Czyż nie brzmi to jak niebiańska muzyka we mnie? A serce Twoje czyż nie bije tak mocno jak moje? Obyś my tylko nie pomarli z wielkiego szczęścia...

DO KLARY
— 10 MAJA 1838

...Twój ojciec nazywa mnie flegmatycznym? Karnawał i — flegmatyczny! — Sonata Fis-moll i — flegmatyczny! Miłość do takiej dziewczyny jak Ty i — flegmatyczny! I Ty możesz słuchać tego spokojnie?

DO KLARY
— 24 STYCZNIA 1839

...Jakże często, gdyś dawniej słuchała mojej gry, myślałem sobie: „nikt cię tak nie rozumie jak Klara", jakże często w owych latach, gdyśmy byli razem, myślałem: „ona należy do ciebie i tylko do ciebie..." Zaprawdę, gdy Ty nieraz byłaś uparta i niedorzeczna, ja byłem w dwój nasób taki. — A potem odnalazły się dusze pokrewne, krótko mówiąc — nie umizgiwałem się do Ciebie więcej, niż Ty do mnie, i bardzoś z tego była rada, gdyż wiem jak nie lubisz pochlebców i schlebiania...

DO KLARY
— 20 STYCZNIA 1839

Gdybym miał tyle siły, aby całkiem poświęcić się muzyce! Ale moja gazeta również ubolewa, gdy ją opuszczam i zaniedbuję. Widzisz więc, w jakiej żyję rozterce. Mój list jest dziś chłodny, jeszcze nie mogę Cię ucałować — takie są często moje poranki — czasami czuję się jak martwy, aż nagle przychodzi gorąca tęsknota do Ciebie. Nie potrafię przekazać Ci obrazu tej tęsknoty. Gdy gram, tęsknota obdarza mnie serdecznymi myślami — ale w innych moich pracach nieraz tak mi ona przeszkadza, że piszę same głupstwa...

DO KLARY
— 2 MAJA 1840

Twoja głowa z pewnością równie ciężka jest jak moja od szczęścia, któreśmy wspólnie przeżyli... Jeszcze się nie uspokoił. I muzykę czuję w sobie tak, iż cały dzień śpiewać chciałbym jedynie. Ale nade wszystko pragnę jednak pieśni układać — więc myśl o mnie. Nim przyjedziesz, będę gotów. Wydawca wydrukuje pieśni dopiero za dni czternaście. Wyślę je potem Lisztowi... Myślę wiele o operze...

SCHUMANN i KLARA DO SĄDU
— WRZESIEŃ 1839

My, niżej podpisani, piastujemy w sobie od dawna wspólne i serdeczne pragnienie powiązania się węzłem małżeńskim. Jednakże na drodze przeprowadzenia tej decyzji napotykamy przeszkodę, której usunięcie jest dla osiągnięcia naszego celu równie konieczne, jak głęboko przykre, że musimy uciekać się do tego sposobu. Ojciec Klary, pan Wieck, nie bacząc na naszą powtórnie skierowaną doń prośbę, odmawia nam swojej zgody.

Powodów jego odmowy nie umiemy sobie wytłumaczyć; nie poczuwamy się do żadnej winy, nasz stan materialny jest tego rodzaju, że śmiało i spokojnie możemy patrzeć w przyszłość. Co powstrzymuje pana Wiecka od udzielenia związkowi temu swojej zgody, to chyba niechęć osobista wobec jednego z niżej podpisanych, który wszakże w swoim czasie zgodził się na wypełnienie wszelkich obowiązków, jakie winien osobie ojca swojej przyszłej towarzyszki życia. Jakkolwiek jest, nie jesteśmy skłonni rezygnować z raz podjętej, należycie wyważonej decyzji i dlatego zwracamy się do Wysokiego Sądu z naszą uniżoną prośbą:

Wysoki Sąd zechce skłonić pana Wiecka do udzielenia jego ojcowskiej zgody na zawarcie naszego małżeństwa lub też przystąpi do udzielenia własnej zgody, zamiast jego, wedle najlepszego uznania. Jedynie przeświadczenie o nieodwracalności tego postanowienia nie pozwala nam pojednać się z nim, lecz zarazem ożywia nas niezbita nadzieja, że również i tutaj, jak to się często zdarza, czas usunie stopniowo tę bolesną niezgodę.

Przełożył:
JAN KOPROWSKI

Półka z książkami

PUBLICYSTYKA KONSPIRACYJNA

Niewielki rozmiarem zbiór konspiracyjnej publicystyki Śląskiego Obwodu PPR przynosi teksty po większej części nieznane, pomijane w dotychczasowych publikacjach. Wybrano je z ośmiu prasowych organów partyjnych, które zachowały się jedynie w pojedynczych egzemplarzach, często bardzo zdefektowanych. Publikacja H. Rechowicza przyda się każdemu badaczowi dziejów Polski w latach okupacji hitlerowskiej. Niedobrze by jednak było, by sięgnęli po nią tylko zawodowi historycy. Teksty zawarte w tomiku tchną niekłamanym autentyzmem, są kapitalnym świadectwem owej walki i myśli ludzi, którzy działali w warunkach odmiennych niż te, jakie znamy z innych dzielnic naszego kraju. Chropowaty język, nieporadność wysłowienia się jednych dokumentów, jaskrawie kontrastuje ze świetnym stylem drugich. Wydawca nie wygładzał, nie „poprawiał" publikowanych źródeł, czasem jednak — chyba całkiem niepotrzebnie — w przypisku podał... właściwą formę gramatyczną, tę, jakiej należałoby tu właśnie użyć. Po co? — nie wiemy; dobrze że nie „skorygował". Robociarska mowa konspiracyjnego pisemka odbijanego w ukryciu na prostym powielaczu przemawia do czytelnika lepiej, niż gładkie zdanka niejednego felietonisty.

O czym więc mówią źródła, które H. Rechowicz dał nam do ręki? Jest to ledwie 36 dokumentów — ale spraw, których one dotyczą, nie sposób w całości wymienić. Są to przecież sprawy tamtych lat — i te wielkie — rozrachunki z najbliższą i dawniejszą przeszłością Polski, centralne problemy polityczne i wojskowe zmagań z hitleryzmem, sprawy socjalistycznej rzeczywistości w Związku Radzieckim i kształtu przyszłej Polski — i te mniejsze codzienne, ale wówczas jeszcze nieraz ważniejsze, bo wymagające zajęcia stanowiska właśnie dziś, natychmiast, zanim będzie się wiedziało coś więcej. Sprawy to tamtych lat, ale dla nas, choć przeszłe, złączone z naszymi sprawami dzisiejszymi.

A.F.G.

Publicystyka Śląskiego Obwodu PPR 1942—1945, wybór i opracowanie: Henryk Rechowicz, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1968 s. 115.

POWIEŚĆ HRABALA

Był głośny film „Pociągi pod specjalnym nadzorem" — może właśnie dlatego w księgarni widziałem kolejkę po wydaną ostatnio przez PIW powieść Bohumila Hrabala, powieść na której oparto scenariusz filmu. Ale to chyba nie tylko to.

Bohumil Hrabal podbił przecież świat swoją soczystą, jędrną a jednocześnie niezwykle liryczną i urokliwą prozą — nie dziwmy się przeto, że i u nas ma zastępy swoich zwolenników. Więc po Hrabala stoją w kolejce — a to już zjawisko.

Bo rzeczywiście jest to zjawisko. Oczywiście tak pisać o ostatniej wojnie jak pisze Hrabal może tylko Czech — obywatel kraju, który podlegał dość specyficznej okupacji Wielkiej Rzeszy. Może właśnie ów nieznany ton tej powieści tak nas zniewala? Ale to także nie tylko to.

Urok książki Hrabala polega na czym innym. To filozofia rodem ze Szwejka, ale o niebo bogatsza. To nastrój grozy pomieszanej z drwiną, humor w parze z ostrą erotyką, anegdota i liryka... Słowem cały Hrabal ze swoich najlepszych opowiadań z „Baronem Munhausenem" na czele.

Bohumil Hrabal napisał bardzo mało — trochę opowiadań i tę właśnie malenką powieść. Ale jednocześnie napisał ogromnie wiele — „napisał" cały przerażający i śmieszny świat.

J.W.

Bohumil Hrabal „Pociągi pod specjalnym nadzorem" PIW cena 10 zł.

KARTKI NA WIETRZE

Ulotne kartki albo inaczej krople liryki — oszczędność słowa, nastrój i zamyślenie... Maleńka książeczka, zaledwie siedemdziesiąt parę stroniczek, a ileż tu wrażeń i ile najczystszej poezji...

„Trzciny stoją z odrzuconym włosem..." „Gorzko pachną zioła utarte w moździerzach pogruchotanych skał...", notatki liryczne z różnych lat, z różnych miejsc pod różnymi słońcami. Z Korsyki i Szklarskiej Poręby, z Poznania i Ajaccio... I z różnych wrażeń i nastrojów — z zamyślenia nad freskami Giotta i z piekła Powstania Warszawskiego, ze wspomnień sycylijskiego słońca i z przemyśleń nad poezją i wojną...

Żaden miłośnik poezji nie powinien przejść obojętnie obok tej cienkiej książeczki. Wacław Kubacki — historyk literatury i krytyk literacki zgromadził tu błyszczące szlachetnością kruszcu — okruchy przemyśleń, nastrojów i refleksji... „Kartki na wietrze" są jak zapach ziół, jak brzęk wiosennej pszczoły, jak marzenie o cieniu pod sycylijskim słońcem...

J. W.

Wacław Kubacki „Kartki na wietrze" Czytelnik 1969 cena 10 zł.

TP OBIEKTYW

O Jasiu i carskiej córce

Przed tygodniem pisałem w T—O o spektaklu telewizyjnego Studia 63 pt. „Byłem i ja", będącym próbą udramatyzowania pierwszego tomu autobiografii Lucja na Rudnickiego „Stare i Nowe". Prawdopodobnie przez przypadek (nie wierzę bowiem w racjonalne przesłanki koordynacji programu telewizyjnego) w dwa dni później Telewizja Łódzka nadała inną adaptację prozy literackiej, ale wyraźnie z poprzednią korespondującą. Mam na myśli „Młodość Jasia Kunefała" adaptację powieści Stanisława Piętaka pod tymże tytułem.

Za chwilę postaram się udowodnić, dlaczego dobrze się stało, że „Młodość Jasia Kunefała" poszła na antenę w tak bliskim sąsiedztwie dramatyzacji „Starego i Nowego". Ale zacznę od czego innego. W tygodniku telewizyjno-filmowym „Ekran" (nr 21) w zapowiedzi łódzkiego spektaklu wyczytałem następujące informacje o autorze powieści Stanisławie Piętaku:

„... po wojnie osiadł na stałe w Łodzi. A po śmierci wdzięczne miasto nazwało jego imieniem ufundowaną przez miejskie władze nagrodę literacką. Nic dziwnego, że właśnie z Łodzi pokaże Teatr Telewizji adaptację **Młodości Jasia Kunefała".**

Bardzo bałamutna jest powyższa informacja. Biografia literacka świetnego pisarza związana jest głównie z Warszawą, gdzie debiutował przed wojną i gdzie spędził ostatnie lata życia. Łódź była dlań pewnym etapem, gdyż w murach naszego miasta szukał schronienia i warunków do kontynuowania pracy twórczej po wojnie. Podobnie jak wielu innych pisarzy i artystów nie związanych silniejszym węzłem uczuciowym z Łodzią powrócił do Warszawy, gdy zaistniały po temu sprzyjające warunki.

I choć ludzie starszego pokolenia dobrze pamiętają charakterystyczną rosłą sylwetkę Piętaka wpisaną w krajobraz powojennej Łodzi, to przecież trudno byłoby się upierać przy tezie, że był to pisarz łódzki. Nie ma też, oczywiście, łódzkiej nagrody literackiej jego imienia. Nagroda taka natomiast przyznawana jest dorocznie w Warszawie za interesujące debiuty młodych pisarzy, wywodzących się jak Stanisław Piętak ze środowiska wiejskiego.

Nie zmienia to faktu, że pamięć tragicznie zmarłego w 1964 roku pisarza żywa jest w łódzkim środowisku literackim i że do kręgu jego przyjaciół zaliczał się autor adaptacji telewizyjnej „Młodości Jasia Kunefała" Tadeusz Papier. A jeżeli Telewizja Łódzka podjęła się przeniesienia na ekran głośnej powieści Piętaka, to uczyniła z pewnością słusznie, niezależnie od tego, że wieś rzeszowska i Warszawa mają do tego pisarza większe prawa.

Wspomniałem wyżej, że „Młodość Jasia Kunefała" koresponduje z widowiskiem opartym na książce autobiograficznej Rudnickiego. Obie książki są w pewnym sensie ze sobą spokrewnione jako dokumenty epoki. Wprawdzie „Stare i Nowe" — to spisany w formie literackiej pamiętnik, a „Młodość Jasia Kunefała" jest powieścią, ale w powieści tej zawarł Piętak szmat własnych doświadczeń życiowych, które towarzyszyły chłopcu z podtarnobrzeskiej Wielowsi w jego dążeniu do wiedzy i do możliwości wypowiedzi twórczej.

Jaś Kunefał, podobnie jak młody Lucek w „Starym i Nowym" nie zadowala się środowiskiem, w którym urodził się i w którym wyrastał. Brak perspektyw dla siebie skłania ich obu do szukania chleba w wielkim mieście. Dla Lucjana jest to jednak równoznaczne z dojrzewaniem świadomości klasowej. Jaś Kunefał zaś walczy samotnie o indywidualny awans dla siebie. Po chłopsku zaciska zęby i sztur muje tak trudno dostępną dla wiejskiego dziecka w warunkach burżuazyjnych wiedzę.

Ojciec Jasia opowiada mu kiedyś (ten fragment powieści znalazł miejsce w adaptacji T. Papiera) bajkę rosyjską, o chorym carze i o młodym chłopie, który go uzdrowił. W bajce car okazał się niewdzięcznikiem, ale Jaś dopowiedział sobie inne zakończenie, w którym młody chłop zyskuje w nagrodę rękę pięknej cesarzówny.

Czyż w opowiadaniu tym nie była zawarta utopijna wiara Jasia, że w ustroju egoizmu klas posiadających i nędzy chłopskiej — jemu uda się zrealizować ambitne plany? Że on, mówiąc w przenośni, osiągnie rękę carskiej córki? Powieść Piętaka, wydana w 1938 roku, choć nie prowadziła do rewolucyjnych wniosków, ukazywała ciężką dolę młodzieży wiejskiej, pozbawionej niemal całkiem szans zrealizowania swoich ambicji.

Nie zgadzam się ze sprawozdawcą „Dziennika Łódzkiego", który poddał w wątpliwość sens wystawienia w telewizji adaptacji powieści Piętaka. Prawda, że „Młodość Jasia Kunefała" jest przykładem prozy mało dramatycznej w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Nie ma w niej narastającego napięcia, kulminacji i rozwiązania. Ale przecież dramatyczność książki tkwi w samej sytuacji bohatera.

Spektakl łódzki przyniósł ponadto jedną świetną (Kłosiński) i parę dobrych kreacji aktorskich (W. Pilarski, szczęśliwiej niż w wypadku „Kochanków z Nohant" obsadzony Gajos). Nie ma reguł w odbiorze dzieła artystycznego, ale ja wieczoru spędzonego na oglądaniu „Młodości Jasia Kunefała" nie uważam za stracony.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Jiżi Menzel zdobywszy szturmem światową publiczność i krytykę filmu „Pociągi pod specjalnym nadzorem", musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wobec jego filmów następnych stosować się już będzie wysokie kryteria ocen.

Nowy film Menzla „KAPRYSNE LATO" przyjęto z pewnym zdziwieniem, które musiało jednak ustąpić uznaniu dla niezwykłego talentu młodego reżysera. Zestawianie i porównywanie obu tych filmów wydaje się niemożliwe, a jednak łączy je widzenie człowieka, jego spraw wielkich i bardzo małych w taki sposób, że te pierwsze są zawsze nienazwanym wprost wynikiem rachunku tych małych. Jest to chyba cecha wspólna nie tylko twórczości Menzla, lecz całej czechosłowackiej kinematografii ostatnich lat.

W „Kapryśnym lecie" są na pozór tylko sprawy małe. Jest ten film opowieścią o pewnym lecie w pewnym małym miasteczku, żałosnym dziś kurorciku Krakovy Vary, w którym trzej starsi panowie wspominają lata własnej młodości a także świetności swego uzdrowiska. Trzej przyjaciele — kierownik miejscowej przystani i plaży, pastor i emerytowany major spędzają czas na owych wspomnieniach, jałowych dyskusjach politycznych, utyskiwaniu na złą pogodę i popijaniu czerwonego wina.

Ten obyczajowy rysunek tworzy obraz życia małego miasteczka, które ze straszliwej nudy i nostalgii za innością życia wyrwać może tylko cud. Marzenie o cudzie zostaje ucieleśnione. Przyjeżdża do miasteczka wóz cyrkowy, zjawia się linoskoczek-prestidigitator i urocza tancerka Anna.

Dla mieszkańców miasteczka, a zwłaszcza trzech przyjaciół i żony jednego z nich Anna i Arnoštek są postaciami z innego świata, są ucieleśnieniem marzenia o miłości, szczęściu, a głównie wyrwania się z monotonii dotychczasowego bytowania. Są postaciami prawie z baśni, toteż każdy z naszych przyjaciół chciałby stać się bohaterem tej bajki. Życie w miasteczku zmienia swój rytm, znajduje też swój sens, a że na krótko, to oczywiste. Nasi znajomi przeżywają swoje małe dramaty, bardzo smutne dla nich, a dla nas może i wesołe, a potem powrócą na przystań, by znów wspominać i popijać ulubione czerwone wino.

Błaha ta opowiastka zrealizowana została przez Menzla z ogromnym wdziękiem. Menzel jest niemal sztukmistrzem i jako sztukmistrz sam w filmie się pojawia, grając Arnoštka, który niejako aranżuje wszystkie wydania i samą swoją obecnością je komentuje. Dzięki jego obecności film, który mógł być tylko obyczajową komedią, a nawet farsą zyskuje przekorne podteksty, w których prozaiczna rzeczywistość miesza się z tonacjami poezji i refleksji.

Pozostaje z filmu wrażenie refleksyjnej opowieści o urokach i smutkach człowieczego życia, pozostaje zamyślenie nad odwieczną człowieka tęsknotą za szczęściem, które jest nieuchwytne, ale o którym trzeba umieć marzyć, o którym nawet, gdy go nie było, można opowiadać przyjaciołom przy lampce wina.

A w ogóle mówić o urokach tego filmu nie sposób. Trzeba poznać jego bohaterów, rozsmakować się w jego atmosferze, nasycić oko cudownymi kolorami i samemu ocenić aktorstwo pań Myslikovej i Drachalovej i panów Menzla, Hrusinsky'ego, Brodsky'ego i Rehaka.

Oglądaniu jugosłowiańskiego filmu „TRZY GODZINY MIŁOŚCI" w reżyserii F. Hadžića towarzyszy refleksja, iż niewiele odeszliśmy od czasów Zapolskiej. Ten jugosłowiański dziennik panny służącej przynosi wprawdzie rekwizyty współczesności, jednak klimat moralny i okoliczności go kształtujące pozostają w tonacji twórczości naszej wojującej pisarki z przełomu wieków.

Trudno czynić z tego wrażenia zarzut w stosunku do filmu, należy chyba uwierzyć twórcom, iż film ich miał mieć charakter demaskatorski wobec stosunków w ich społeczeństwie panujących, że ta historia służącej ma szerszy społeczny i obyczajowy sens.

Nam, mieszkańcom kraju, w którym pomoc domowa jest instytucją tak cenną, tak poszukiwaną i tak trudno osiągalną, trudno trochę uwierzyć, że sytuacja i problemy pomocnicy domowej mogą stać się tematem filmu, ale widać bracia Jugosłowianie problemy socjalne i w tym temacie odnajdują.

Niewątpliwym atutem tej mimo wszystko banalnej historyjki o młodej i ładniutkiej pannie służącej uwiedzionej przez podstarzałego chlebodawcę są sytuacje towarzyszące tej opowieści. Należą do nich te sekwencje filmu, w których poznajemy koleżanki i kolegów naszej bohaterki.

Sekwencje obrazujące sposób spędzania wolnego czasu tej młodzieży, odznaczają się znacznym, odważnym, nawet drapieżnym realizmem.

Przerażająco smutna, jałowa, wyprana z wszelkich wartości jest ta młodość, i ona sama w sobie jest oddzielnym znacznie ciekawszym i odważniejszym tematem tego filmu aniżeli losy głównej bohaterki.

„Trzy godziny miłości", nieocenione nawet najwyżej, pozostają jednak świadectwem tego, iż kinematografia jugosłowiańska ostatnich lat bardzo mocno angażuje się w sprawy współczesności swego kraju. Z tego co oglądaliśmy na naszych ekranach i z tego co o filmach jugosłowiańskich się słyszy widać, że są one odbiciem spraw aktualnych, że dotykają spraw często drażliwych a godnych załatwienia, że nie boją się formuły kina interwencyjnego.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

TWARZE W POZAEUROPEJSKIEJ SZTUCE LUDOWEJ

W szwajcarskim dzienniku „Neue Zurcher Zeitung" znajdujemy m. in. obszerną notatkę o wydawnictwie, jakie ukazało się w Zurychu pt. „Sammlung fuer Voelkerkunde der Universitat Zurich. Dzieło to jest wynikiem 80-letniej pracy, badań i studiów nad sztuką ludową najważniejszych kręgów kulturowych na całej kuli ziemskiej. Autor notatki jako przykład omawia wyrywkowo problem jak w sztuce ludowej poza Europą przedstawiane są ludzkie twarze.

I tak np. Indianie Karaja w Brazylii rysują kółka na twarzach glinianych lalek. Kółka te nie oznaczają bynajmniej oczu, są to bowiem znaki szczepowe, które Indianie malują sobie na policzkach. Takie figurki są jeszcze dziś wytwarzane w wielkich ilościach przez kobiety i służą jako zabawki dziecinne, albo sprzedawane są turystom i zbieraczom eksponatów sztuki ludowej. Produkcją lalek zajmują się wyłącznie kobiety, a ponieważ ze sprzedaży uzyskują pieniądze, osiągnęły nie tylko równo uprawnienie, ale zdobyły nawet dominację w rodzinie, co sprawia, że mężczyźni z tego szczepu wykazują oznaki kompleksu niepełnowartościowości.

Znakomitymi żeglarzami były ludy nowozelandzkie. Budowali oni mocne okręty, odporne na sztormy, dzięki podwójnemu kadłubowi. Statek taki mógł zabierać około 300 żeglarzy. Jednym z ludów Nowej Zelandii byli Maoriowie, którzy podobno w XIV wieku przybyli z Samoa albo z Tonga. Byli podobno kanibalami, a ponadto z zamiłowaniem przechowywali preparowane czaszki swych wrogów. Dziś żyje 6 tysięcy potomków tego ludu.

Reprodukowana na zdjęciu głowa o męskich rysach, wykonana jest w drzewie i daje nam wyobrażenie o tym, jak niegdyś wodzowie tatuowali sobie twarze. Im wyżej ktoś stał w hierarchii społecznej Maoriów tym miał bogatszy tatuaż. Typowe dla kultury Maoriów wzory krzywizn i podwójnych spirali powstawały na twarzy podczas długiej i bolesnej operacji. Używano przy tym małych, zaopatrzonych w liczne kolce, specjalnych przyrządów. Kolce wbijano w skórę przy pomocy drewnianego młotka. W rany wpuszczano farby, które po takim zabiegu nie dawały się niczym ani zmyć ani wywabić. Prezentowana na zdjęciu głowa z drewna z tatuażem, ma oczy wykonane z perłowej macicy. Jest to najprawdopodobniej wizerunek kogoś kto zajmował wysokie stanowisko w hierarchii społecznej Maoriów.

MUSICAL BEZ GWIAZD

Pod takim tytułem czytamy w 5-tym numerze radzieckiego magazynu „Sputnik" artykuł o leningradzkim musicalu. Pierwszy radziecki musical, ten trudny rodzaj estradowego spektaklu, wystawiony był po raz pierwszy w Leningradzie w latach trzydziestych. Spotkał się z dużym uznaniem widzów, a o jego powodzeniu zadecydował udział tak wybitnych artystów estrady jak kompozytor Dunajewski oraz śpiewak i dyrygent Leonid Utiesow.

Obecnie na afiszach leningradzkiego musicalu widnieją nazwiska, które na ogół nie są znane szerszej publiczności.

— My nie zapraszamy słynnych gwiazd — mówi artystyczny kierownik zespołu — Ilia Rachlin. — Wszyscy nasi artyści, tancerze, śpiewacy, akrobaci, zespół baletowy — mają równe szanse osiągnięcia sukcesu, a głównym warunkiem tego jest talent, no, i... młodość. Przeciętny wiek naszych artystów wynosi 20 lat.

Tak więc jest to musical bez słynnych gwiazd estrady. Ja na to reaguje widz, którego jak wiadomo, przyciągają głośne nazwiska? Okazuje się, że frekwencja jest taka, o jakiej marzyć jedynie mogą dyrektorzy teatrów. Powodzenie nowego leningradzkiego musicalu jest tak znaczne, że gazeta „Leningradzka Prawda" ogłaszając konkurs dla czytelników wśród ufundowanych cennych nagród wymienia również bilety na spektakl leningradzkiego musicalu.

PIERRE BOULEZ W PARYŻU

Przez ostatnie trzy miesiące przebywał w Stanach Zjednoczonych dyrygując najsłynniejszymi orkiestrami Nowego Jorku, Clevelandu, Bostonu, Chicago, Los Angeles. Przywiózł z Ameryki 50 kilowieńców laurowych i Grammy Award, największą nagrodę płyt, za swe nagranie „Morza" Claude'a Debussy'ego.

Pierre Boulez kompozytor, pianista, dyrygent i teoretyk francuski urodził się w roku 1925. Studiował u Messiaena i Leibowitza. Jak twierdzą znawcy, Boulez jest być może najbardziej dynamicznym muzykiem z młodych, należących do tzw. awangardy muzycznej.

Pierre Boulez jest autorem szeregu wybitnych kompozycji jak „Polyphonie X", „Symfonia koncertująca", „Structures", „Le Marteau sans Maitre". W Paryżu mógł wystąpić tylko z jednym koncertem dyrygując Symphony Orchestra B.B.C. Ku zmartwieniu melomanów paryskich związany kontraktami nie mógł być dłużej w stolicy Francji.

Francuzi chętnie widzieliby go jako dyrygenta Orchestre de Paris, ale o tym nie może być mowy przed rokiem 1972, gdyż do tego czasu Boulez musi być dyrygentem Symphony Orchestra.

DLA UCZCZENIA PROKOFJEWA

Na domu przy ulicy Valentin-Hauy w Paryżu, gdzie w latach 1929—1935 mieszkał w Paryżu Siergiej S. Prokofjew (1891—1953) została uroczyście wmurowana tablica pamiątkowa.

Uroczystość zorganizowały władze m. Paryża przy współudziale Francuskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Prokofjewa.

CENNY DAR DLA UNIWERSYTETU

Wielki miłośnik i znawca twórczości Baudelaire'a, W.T. Bandy ofiarował w Nashville dla uniwersytetu Vanderbilt swoją kolekcję manuskryptów i dokumentów baudelaire'owskich. Jest to najbogatszy zbiór pamiątek po Baudelairze na świecie. Dar staje się zaczątkiem „Centrum studiów baudelaire'owskich", w Stanach Zjednoczonych".

Od niedzieli do niedzieli

TOWARZYSZE SZTUKI DRUKARSKIEJ

SŁOWA Z OŁOWIU — OJCIEC GUTENBERG — 40 TYSIĘCY DRUKARZY — STARY DRUKARZ FRANKLIN — MASZYNA „NEBIOLO" — KIEDY MIASTO ŚPI...

Czym byłyby nasze słowa, gdyby nie oni? Kameralnym zapisem na białej kartce papieru, niepowtarzalnym znakiem pisarskim, frazą nieożywioną oddechem milionów Czytelników.

A to przecież oni — To warzysze Sztuki Drukarskiej — nadają naszym słowom ołowiany kształt czcionki, to oni powielają je w szybkiej rotacji, oni z gorących linotypów wystukują równe szeregi książkowych i gazetowych szpalt. To oni słowom powstającym w ciszy nadają moc i zdolność docierania do Czytelnika. Nasze powstające w ciszy słowa rodzą się na nowo w huku drukarskich maszyn...

Bardzo stary i godny jest rodowód naszych kolegów — Towarzyszy Sztuki Drukarskiej. Wymienia się oczywiście zawsze Gutenberga i jego 42-wierszową Biblię drukowaną w Moguncji w 1452 roku. Ale i przedtem były książki blokowe odbijane z całych drzeworytowych desek — przed Gutenbergiem też było drukarstwo, choć inne, ale było... Dziś przecież drukarstwo także jest inne jak przed i po Gutenbergu, dziś to się już nazywa przemysł poligraficzny — ogromna dziedzina gospodarki obejmująca około 700 zakładów produkcyjnych... To brzmi jak zdanie referatu, ale nie sposób ustrzec się tego tonu, gdy trzeba przypomnieć referatowe, statystyczne fakty.

Czterdziestotysięczna armia drukarzy obchodziła przed paroma dniami swoje święto. Czterdzieści tysięcy ludzi nadających naszym słowom trwały kształt, ludzi niosących te nasze słowa do milionów Czytelników. To oni wydrukowali w Polsce Ludowej około 100 milionów egzemplarzy książek, ponad 2,5 miliarda egzemplarzy gazet i czasopism... Są to cyfry ogromne, praca ogromna i znaczenie tej pracy ogromne.

Towarzysze Sztuki Drukarskiej — jest w tej nazwie godność i tradycja, jest poczucie współodpowiedzialności za słowa tworzone wspólnie z człowiekiem pióra, jest wreszcie przekonanie o pięknie tej pracy, o trudzie i niepowtarzalności tego dzieła współtworzenia... Bo chociaż dziś to już przemysł, choć stare oficyny drukarskie zastąpiono wielkimi halami nowoczesnych maszyn — jest to w dalszym ciągu sztuka.

Jeden z mądrzejszych ludzi Ameryki, Beniamin Franklin, zanim został prezydentem, był właśnie drukarzem. I on to właśnie jest twórcą pięknego epitafium na swoją własną śmierć, on po latach sprawowania najwyższych państwowych funkcji czuł się przed śmiercią drukarzem. I napisał:

„Tu spoczywa oddane robakom ciało Beniamina Franklina, drukarza. Jak oprawa starej książki, z której karty zostały wydarte a złocenia i tytuł wygładzone. Ale mimo to dzieło nie zginie, bo wyjdzie — jak zawsze wierzył — w nowym lepszym wydaniu, przejrzanym i poprawionym przez Autora".

Potomni nie umieścili tego napisu na płycie grobowej. Nie zrozumieli starego drukarza, który umierał jako mąż stanu...

I dziś ludzie nie rozumieją już tej dumnej nazwy. Dlaczego „sztuki drukarskiej?" — dziwią się nie wiedząc, że na tych supernowoczesnych maszynach można drukować pięknie, można tworzyć dzieła kunsztu poligraficznego tylko wówczas, gdy się tę pracę traktuje właśnie jak sztukę. Bo to w dalszym ciągu jest sztuka.

A nowoczesne maszyny i hale z betonu i szkła są i będzie ich coraz więcej. Nasza prasowa drukarnia tylko w ubiegłym roku otrzymała na przykład wielką maszynę rotacyjną produkcji NRD, zainstalowano tu czterokolorową maszynę offsetową typu „Nebiolo" zakupioną we Włoszech... A w najbliższych latach? Za wiele milionów złotych buduje się drukarnię prasową i być może ruszy ona już w roku 1972. Przeniosła się z ciemnych oficyn do wielkiego jasnego gmachu Łódzka Drukarnia Dziełowa i od paru już lat zasila cały kraj strumieniem książek z popularnymi „kieszeniówkami" o barwnych okładkach na czele...

Towarzysze Sztuki Drukarskiej niosą słowa odbijane w milionach egzemplarzy, słowa zmienione w stop ołowiu i cyny, zmienione w literaturę i informację. Słowa upowszechnione i zwielokrotnione... Nadają tym słowom moce i zdolności, bez których pozostałyby tylko samotnym pisarskim znakiem.

Nocami, kiedy miasto śpi, w linotypach paruje ołów na nowe czcionki, na nowe słowa, które przyniesie ludziom gazeta i książka... Nocami, kiedy miasto śpi, przy naszych słowach czekających na druk, na nobilitację upowszechnienia czuwają ludzie — współtwórcy naszych słów — Towarzysze Sztuki Drukarskiej.

JERZY WIDOK

Bez strachu

JEDNOŚĆ

Kiedy byłem dzieckiem, kiedy umiałem już płakać, a nie umiałem jeszcze mówić, nachylała się nade mną czyjaś olbrzymia, dobra głowa i ściskałem rączkami olbrzymi, serdeczny palec. Żyłem także w strumieniach czyjegoś gorącego kojącego oddechu. Nie było nikogo innego, nie potrafiłem jeszcze rozeznać i określić samego siebie — moja mała noga wydawała mi się obca — uderzałem ją rączką, gdy bolała. Powoli pojmowałem, że to co się nade mną nachyla to człowiek — wiedziałem o tym wcześniej niż to, że sam jestem człowiekiem — nie wiedziałem, że istnieje wielu rozmaitych ludzi — dla mnie był tylko jeden olbrzymi człowiek. Stopniowo człowiek ten malał, a ja wzrastałem. Pojawiło się przed moimi oczami rojowisko ludzkie. Szybko podzieliłi się na znajomych i obcych, dużych i małych, dobrych i złych, pięknych i szpetnych. Dostrzegałem różnice w ich słowach i czynach, a nawet w ich myślach. Stawałem nagle w szeregu, umieszczony w takiej czy innej gromadzie. Byłem złym czy dobrym uczniem, złym czy dobrym żołnierzem, złym czy dobrym urzędnikiem, złym czy dobrym autorem. Najczęściej oceniali mnie ci, którzy niemal nic o mnie nie wiedzieli. Ci, którzy wiedzieli o mnie dużo (niekiedy więcej niż ja sam) milczeli — czasem tylko chwalili mnie, lub ganili skinieniem głowy, grymasem ust. Byli tacy, którzy nienawidzili mnie bowiem zbyt szybko i dużo jadam, byli tacy, którzy cenili mnie za to. Byli tacy, którzy uważali, że jestem słaby i zły, byli tacy którzy uważali, że jestem silny i dobry. Na jednych działałem kojąco, innych drażniłem. Byli tacy, którzy mnie poszukiwali i tacy, którzy mnie unikali. Kiedy chciałem czynić dobro czyniłem zło, kiedy chciałem czynić zło czyniłem dobro. Moje dobro i zło jest trudne, brak mi w tych sprawach daru prostej intuicji. Brak mi także okresu dojrzałości — nigdy nie byłem dojrzały — teraz oto przechodzę z bardzo późnej młodości w bardzo wczesną starość. Tymczasem ludzie wokół mnie rozumieją się i uroz maicają do nieskończonych liczb i odrębności. Mówią rozmaitymi językami, mają różny kolor skóry, mają różne proste i trudne problemy — muszę ich poznawać — cieszyć się za nich i męczyć za nich. A jednak świat moich ludzi rozrastając się także się kurczy. Stałem już nad wieloma świeżo wykopanymi grobami, rzucałem garści piasku na wieka trumien. Moi umarli, w dużej już liczbie przychodzą do mnie w snach i w ciekawych stanach pomiędzy snem, a jawą — zapraszają mnie do siebie, a ja ciągle nie korzystam z ich gościnności. Życie jest o wiele większe niż śmierć. Znam coraz więcej ludzi, a sam jestem coraz mniej znany. Kiedyś myślałem o własnej śmierci z lękiem, dzisiaj myślę o niej z niezmierną, napiętą ciekawością jako o pasjonującej przygodzie. Wiem też i pragnę tego by w ostatniej mojej chwili niezmierne rojowisko ludzkie skupiło się w jedną olbrzymią istotę, będę leżał owiany jej gorącym oddechem — nachyli się nade mną ogromna głowa — będę ściskał niezmierny serdeczny palec — nawet kiedy przestanę już być sobą.

BERNARD SZTAJNERT

HERBERT EISENREICH

ŻYCIE pozagrobowe

Najpierw zjawił się krytyk Spellmann i powiedział: „To już dziesiąta rocznica, więc po myśleliśmy sobie, że jest okazja, aby urządzić u Stockhoffa i Meyera retrospektywną wystawę". Potem przyszedł Leo Lipitzky, który teraz pracuje w telewizji. „Wiesz" — powiedział — chcemy zrobić książeczkę, „Głosy przyjaciół", z recenzjami o nim i z nowymi pracami, wszyscy wezmą udział, doda się kilka grafik, wyda to Semafor, już to uzgodniłem". Na ulicy spotkała aktora Hugona Meixnera. Meixner powiedział: „Sądzę, że powinniśmy urządzić jakąś uroczystość przy grobie; nie tylko ja tak uważam". A Sawackiemu sugerowałem, ażeby rozwiesił w foyer projekty prac scenograficznych". Odwiedził ją także wydawca Kristan i powiedział: „Na dziesiątą rocznicę śmierci wydamy tekę, zamieścimy dwa naście do piętnastu wybranych obrazów albo cykl Hioba, jeśli ściągniemy wszystkie szkice. Przedmowę napisze Heinersdorff, on znał go najlepiej z nas wszystkich". A potem zjawili się u niej jednocześnie Spellmann, Lipitzky, Meixner, Kristan i Heinersdorff, wszyscy starzy przyjaciele, aby wspólnie uzgodnić wszystko i omówić, a następnie przychodzili jeszcze po kolei, by poszperać w tekach, odszukać stare recenzje, porobić wyciągi z listów i obejrzeć obrazy; a ona miała przy tym gotować i odrabiać lekcje z czternastoletnim Haraldem, sprzątać mieszkanie, zresztą i w biurze było w tym czasie szczególnie wiele pracy, gdyż jej szef się usamodzielnił; doktor Schinagl niemal codzien nie wręczał jej plik akt do opracowania w domu. A teraz musiała szperać w tekach i wyciągać stare recenzje, robić wypisy z listów i oglądać obrazy; i myślała przy tym o nie pozmywanych naczyniach w kuchni i o podartych spodniach Piotra, i mówiła: „Tak, ten obraz, jeśli chcesz, albo mo im zdaniem ten tutaj", bo w gruncie rzeczy było jej obojętne, zupełnie obojętne. I dziwiło ją tylko, że robiono teraz tyle szumu wokół czegoś, co zdarzyło się przed dziesięcioma, dwunastoma i piętnastoma laty. Wówczas bardziej by chciała powtórnie wyjść za mąż, choćby ze względu na dzieci. Ale nikt jej nie wziął, może właśnie ze względu na te dzieci. Zostawił jej wprawdzie dwoje dzieci, lecz ani renty, ani nawet książeczki oszczędnościowej, a obrazy można było sprzedać za raz po jego śmierci, później nie było nabywców, dlatego też musiała wrócić do kancelarii doktora Schinagla. Tam się poznali po jego wypadku na skuterze. Pozostała mu po tym blizna na lewej skroni, pozostało i przyzwyczajenie, obmacywał głęboką bliznę długim, białym palcem wskazującym, co czasem wyglądało jakby dłubał w mózgu. Nie było to najgorsze z jego przyzwyczajeń, bardziej cierpiała, kiedy tuż po obiedzie rozluźniał pasek u spodni, demonstrując wraz z koszulą obnażony brzuch. Nie mogła się też pogodzić, gdy niespodziewanie, w biały dzień, rozciągał się na dywanie i masował plastykową szczoteczką nagie ciało. Prawdziwie natomiast przykry był dla niej zapach wydzielający się z ust, zwłaszcza po zjedzeniu tłustej kolacji, gęsto zaprawianej, i potem, już w łóżku, gdy zionął na nią odorem; i jeśli stawiała mu wówczas warunek, by umył przedtem zęby, zawsze wybuchała sprzeczka. A w ogóle za wiele się kłócili; również dlatego, iż w pokoju, w którym wtedy urządził atelier, nie pozwalał zasłaniać aby żurem lampy. Kłótnie podsycały w niej najczęściej upór, on zaś nie zważając na nic wstawał z łóżka i podchodził do sztalug, godzinami malował, stawiając cierpliwie delikatnym pędzelkiem kreskę po kresce, przy otwartych drzwiach, które raz po raz zatrzaskiwała, a on ciągle łagodnie otwierał, aż kiedyś wystawił z zawiasów i oparł o ścianę. O tym właśnie rozmyślała: i myślała o niezliczonych przedpołudniach, które przeleżał w łóżku, podczas gdy ona kasmiła dzieci, chodziła po zakupy i gotowała, i o niezliczonych popołudniach, gdy głuchy i niemy siedział przy kuchennym stole, czytając z pół tuzina gazet, od artykułu wstępnego do ostatniego ogłoszenia, a ona tymczasem zmywała naczynia, szorowała podłogę i wychodziła z dziećmi na spacer i myślała o niezliczonych wieczorach, które spędzał ze swymi przyjaciółmi w atelier a każdy z nich starał się przewyższyć drugiego, podczas gdy ona usypiała jeszcze dziecko, nucąc mu do snu, i o niezliczonych nocach, kiedy, jeśli pracował we dnie, przemierzał miasto w samotnych wędrówkach a ona czuwała, do słuchując się w każdym skrzypnięciu kołyski przekręcania klucza w zamku. I rozpamiętywała wreszcie wszystko, co ją złościło, było wstrętne i nieznośne. I dziwiła się coraz bardziej, iż oto teraz robiono taki szum wokół tego, co stało się przed dziesięcioma, dwunastoma i piętnastoma laty, i dawno przeminęło i powinno przeminąć, gdyż nie było tak, aby warto było o tym myśleć; zostały dzieci, praca w kancelarii. Ponieważ jednak przyszli do niej teraz dawni przyjaciele, szperała w tekach i wyciągała stare recenzje i robiła wypisy z listów i oglądała obrazy, więc dlatego myślała o tym wszystkim, i już nie przypominała sobie w ogóle tej chwili, gdy napłynęły jej łzy do oczu, jak Heinersdorff, wówczas już niemal znany pisarz, podczas otwarcia pierwszej wystawy mówił o niebywałej, niezrozumiałej dla innych ludzi odwadze, która popycha kogoś do robienia rzeczy nie podjętych dotąd przez nikogo; o odwadze pozostania na zawsze w samotności; i że wtedy nie wydając głosu bełkotała: „Nie, nie jesteś sam, ani teraz, ani nigdy!" I nie przypominała też sobie, jak co najmniej przez dwa tygodnie wymykała się wczesnym rankiem pod byle jakim pozorem z domu i w kiosku na dole wertowała wszystkie dzienniki, i z jaką wściekłością i rozpaczą stwierdzała, że tylko dwie gazety zamieściły recenzje z tej wystawy. Nie myślała też o niezliczonych wieczorach, gdy mu się zwierzała ze swych wrażeń na temat gotowego obrazu, a on z kolei objaśniał jej swój zamiar, ani też o wyczerpującej walce z własnym zwątpieniem, o której nikt poza nią nie wiedział, ponieważ on grał wszędzie zadowolonego wesołka, ani wreszcie o błyskotliwych konceptach, którymi dzielił się jedynie i wyłącznie z nią; jednym słowem: już nie wspominała o tym zmaganiu o jego mistrzostwo w pracy, dochodzącym aż do skrajnej determinacji, po czym w milczeniu, trzymając się za ręce, rozładowywali napięcie we wspólnocie ciał. I że nikt przed nią nie oglądał skończonego obrazu i że była jedynym człowiekiem, który mógł oglądać w atelier jego rozpoczęte prace; również i o tym nie myślała. Zapomniała też o swej radości, gdy otrzymał przyrzeczone stypendium do Włoch, i o samych Włoszech. I o tym, jak nauczył ją tam patrzeć na kolory, których nie było w ich kraju, i jak przy

glądała mu się podczas malowania w plenerze, wyostrzając przy tym i rozszerzając oczy, i jak z tej ukrywanej radości rodziły się najskrytsze życzenia pod jego adresem, budziła się najdziksza tęsknota za nim, że ledwie mogła doczekać się chwili powrotu do pokoju, gdzie zrywała z siebie suknie, i kiedy potem pieścił ją palcami powalanymi farbą, miała wrażenie, jakby dalej na niej malował. Nie pamiętała i o tym, jak to w ostatnim dniu wystawy pan Stockhoff wziąwszy ją pod rękę powiedział: „Droga pani, z wszystkich wystaw, jakie organizowałem, ta cieszyła się największym powodzeniem, z czterdziestu obrazów zostało tylko sześć", i jak to musiała przygryźć wargi, aby nie powiedzieć: „Ja, proszę pana, ja to przewidywałam". Nie myślała też o tym dniu, kiedy otrzymał zaproszenie do udziału w biennale, ani o tym, że wspólnie wybierali obrazy: z jej zdaniem liczył się bardziej niż z własnym. A również i o tym, z jaką niezwyczajną dla niej uwagą chłonęła każde słowo mówców w czasie wręczania nagrody państwowej: pracę w ten sposób wyróżnioną uważała zawsze za godną nagrody, i czuła, iż nagrodzono ich wspólne dzieło, chociaż nigdy nie mogła się pogodzić z tym, jak mówił: „Więc to mamy już po za sobą", albo: „Sądzę, że powinniśmy być zadowoleni", lub: „Ale teraz zmajstrujemy lepsze rzeczy", czy coś w tym rodzaju. Wszystko to uległo zapomnieniu podobnie jak przyjęcie w ambasadzie francuskiej, gdy poza sobą usłyszała jakiś zuchwały głos, pytający kogoś: „Któż to, ta śmieszna mała?", a ktoś odpowiedział: „No okręć się i sam spytaj!". aż dopiero ktoś trzeci wyszeptał nazwisko i nagle została otoczona grupą panów, jakiś pan zechciał podać jej szklaneczkę szampana, gdzie indziej podano jej ogień, ktoś opowiadał jej, jak bardzo podobają mu się obrazy jej męża, a znowu ktoś inny przedstawił jej jakiegoś pana, który z trudem prostował się po ucałowaniu rączek; a wreszcie ktoś powiedział, podnosząc swój kieliszek na wysokość błyszczących oczek, że teraz dopiero rozumie, skąd pochodzi piękność widoczna w obrazach jej męża: a wszystko za sprawą jego nazwiska, które, dzięki niemu, było przecież jej nazwiskiem. Jednak nie rozmyślała już o tym wszystkim, a właściwie tak. Myślała o tym, o tym wszystkim, szperając teraz w tekach i wyciągając stare recenzje, robiąc wypisy z listów i oglądając obrazy; myślała o tym, lecz w ten sposób, jak myśli się o uniesieniach, których wstydzimy się już po chwili, lub o dziecinadach, które oddalają od rzeczywistego życia. Dla niej znaczył on teraz mniej niż jakiś mały urzędnik magistracki pobierający rentę, i odczuwała wprost jako szyderstwo właśnie to, iż robiono teraz tyle szumu wokół czegoś, co zdarzyło się przed dziesięcioma, dwunastoma i piętnastoma laty, i lepiej, żeby się nigdy było nie wydarzyło. Wydrukowano „Głosy przyjaciół", wydano tekę z cyklem Hioba, w foyer Teatru Ludowego wisiały jego szkice scenograficzne, urządzono wystawę retrospektywną, a gazety zamieściły tak długie artykuły jak za jego życia; wokół grobu zgromadziło się około stu osób. I nie pojmowała już tego wszystkiego. Chętniej by ponownie wyszła za mąż — wówczas; lecz nikt jej nie wziął: powiedziano jej to teraz przy grobie wręcz tysiącem słów. Mówiono do niej o umarłym tak jakby żył. Ale dla niej nie żył, od dziesięciu lat aż po wieczność, a potem jednak tylko do następnego przedpołudnia w kancelarii doktora Schinagla: ktoś zapukał do drzwi i wszedł, lecz to nie był on. I wtedy się rozpłakała. I płakała tak głośno, że doktor Schinagl, z tytułu swego zawodu adwokata żaden przecież filantrop, posłał ją do domu. Wszakże już po godzinie wróciła i powiedziała do niego: „Zdarzają się takie dni kobietom, że nie wiedzą, co się z nimi dzieje. Przykro mi, panie doktorze; nie powtórzy się to więcej". Nie powtórzyło się to zresztą nigdy.

Przekład
Stanisław Kaszyński

Lewym okiem

CZYSTOŚĆ ZDROWIU SZKODZI!

Jak by tu... Jak by tu nie urazić niczyjej delikatności, a przecież poruszyć choć trochę sprawę ważną, istotną, sprawę drastyczną a będącą podstawowym wykładnikiem kultury w najszerszym sensie tego słowa... Sprawę higieny osobistej i higieny w ogóle?

Okrągłe dwieście lat mija od czasu, gdy dwaj bracia Bordeau, lekarze paryscy, przestrzegali w dziele o chorobach chronicznych przed zbytnią czystością. „Zbytnia czystość szkodzi zdrowiu i ogranicza przyjemności życiowe" — pisali. Był to czas, gdy książęta francuscy sprowadzali sobie raz w miesiącu specjalistów do czyszczenia zębów, dokonywanego piórkiem i patykiem, a brzegi Sekwany w Paryżu, które — jak pisał L. S. Mercier, domagają się w Tableau de Paris budowy sieci szaletów publicznych — „miały służyć miastu ku ozdobie, obrażają w równej mierze oko, co powonienie"... Nie, to nieapetyczne. To były dzikie obyczaje, ciemnota, brud.

Prawda, że jesteśmy w tym względzie jednomyślni? No to dlaczego w upalny dzień wnętrza tramwajów, przedziałów kolejowych, pomieszczeń, w których pracuje parę osób, nie przypominają bynajmniej atmosfery kwitnącego gaju o wiosennym świcie? Dlaczego wnętrza bram i klatek schodowych, zwłaszcza w okolicach kiosków z piwem, forsować trzeba ostrożnie, odwracając głowę i wstrzymując oddech aż do drugiego piętra, zupełnie jak przed dwustu laty nad brzegami Sekwany?

Nie lubimy bynajmniej skrajności. Nie jest nam miły widok młodego człowieka, godzinami robiącego wielką poranną toaletę — znam takich ze wspólnych pokojów hotelowych. Znam te masażyki, poklepywania, przyczesywania brwi i znów kremik małym paluszkiem, i jeszcze dziesięć razy krawacik o milimetr to w lewo w prawo, i jeszcze paznokcie o serwetę, żeby błyszczały. To są objawy narcyzmu, a nie zamiłowania do higieny. Ale równie trudno uznać za wzorzec do postępowania młodzieńca, który jest wyższy ponad mycie rąk, nóg i głowy. Takich znamy również, bez mieszkania z nimi w hotelach.

Czyszczenie butów to głupia i męcząca czynność. Więc nosi się welurowe ni to pantofle, ni to bambosze, których czyścić nie trzeba a nawet nie wypada. Spodnie z texasu nie wymagają żadnych zabiegów, a jeszcze się je dotrze pumeksem, żeby wyglądały od razu jak stare. Jak stare, nie jak nowe.

Był kiedyś okres wyjścia naprzeciw słońcu, wodzie, powietrzu. Zdjęto przed pół wiekiem pancerze różnych halsztuków, gorsetów i potworności. Przedtem eteryczna bladość stanowiła główną cechę urody kobiecej. Jeśli dziewicę niechcący złapało i przyrumieniło słońce — „Manualik damski czyli sposób odbywania paryskiej gotowalni" pani hrabiny de Celuart wskazywał środek na zmycie opalenizny: „Skuteczny, chociaż mówiąc prawdę nieco przykry — mycie się krwią z ptaków". Dziś opalenizna wciąż modna, ale nie ma już nic wspólnego ze sportowym stylem bycia. Zdobywa się ją albo przy pomocy „samoopalającego" kremu, albo męczeńską metodą leżenia godzinami na płask z grubą warstwą Nivei na twarzy, z listkami na oparzonych powiekach, z perspektywą paru bolesnych nocy i jednego triumfalnego wejścia do biura po powrocie z urlopu.

I znów ten nieszczęsny tramwajowy ścisk. Tkwią w nim trzy, cztery, osiem pań opalonych na kakao, z włosami spalonymi ondulacją, z dekoltami koloru sepii. Wokół tych słonecznych, sportowych, miłujących przyrodę pań... jak by tu powiedzieć... taka aureola... taki indywidualny mikroklimat...

W tym samym tramwaju siedmiu, ośmiu, dwunastu młodych gniewnych. Zmiętoszonych, rozchełstanych, zarośniętych żywiołowo, nie tkniętych żyletką, nożyczkami, szczotką, żelazkiem, nie tkniętych żadnym wysiłkiem o własny wygląd. Tylko tranzystory mruczą. Tylko dzięki tranzystorom przypominamy sobie, że to nie czasy braci Bordeau, lekarzy paryskich...

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (red. techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1334 VI B-12